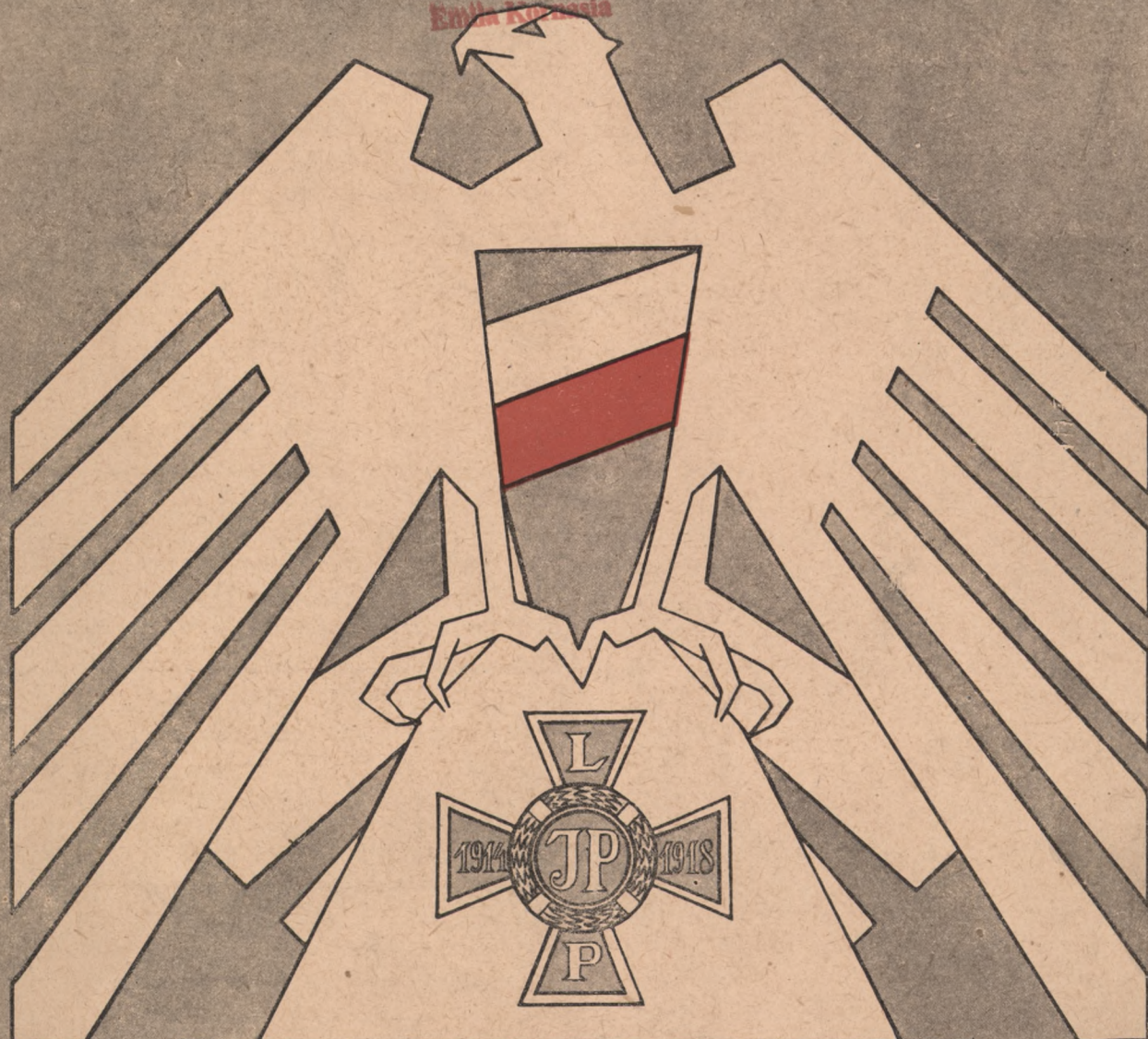


LEGJON

Kolekcja
Emilia Kłosowska



MIESIĘCZNIK

Pr. K. Dzieliński.

TADEUSZ KOBOS

**PRACOWNIA ART. STOLARSKA
W KRAKOWIE, UL. MAZOWIECKA 131**

Wykonuje: sypialnie, jadalnie, gabinety, urządzenia sklepowe, przedpokoje, pokoje dzieciinne i kuchnie ostatniej mody, z uwzględnieniem wszystkich wymogów praktycznych, według projektów własnych, jak i pp. architektów i artystów. — Kosztorysy, projekty i rysunki na żądanie uskutecznia w najkrótszym czasie. — Wykonanie wszystkich prac pierwszorzędne.

ZWIĄZEK EKONOMICZNY

SPÓŁDZIELNI KÓŁEK ROLNICZYCH

CENTRALA: KRAKÓW — UL. WIŚLNA L. 8

DOSTARCZA:

NAWOZÓW SZTUCZNYCH, MASZYN I NARZĘDZI ROLNICZYCH, MATERJAŁÓW BUDOWLANYCH I OPAŁOWYCH ORAZ WSZELKICH INNYCH TOWARÓW.



Wytwórnia pieczętek różnego rodzaju, szyldy i napisy emaljowane. Drukarki domowe. Wielki wybór numeratorów w różnych wielkościach najnowszej konstrukcji — po cenach nader przystępnych poleca:

ALEKSANDER FISCHHAB

KRAKÓW, GRODZKA 46. TEL. 3256.

**GŁÓWNE SKŁADY
WĘGLA, KOKSU I DRZEWA**

Dra FRANCISZKA JELONKA

KRAKÓW, PAWIA 5 — TELEFON Nr. 0174

SPRZEDAJĄ NAILEPSZEJ JAKOŚCI HURTOWNIE I DETALICZNIE WĘGIEL JAWORZNIKI NA DOGODNYCH WARUNKACH ZAPŁATY. — WYŁĄCZNE ZASTĘPSTWO JAWORZNIACKICH KOMUNALNYCH KOPALN WĘGLA W JAWORZNIE.

DOM ZDROWIA Dra BRUNONA WOYCIECHOWSKIEGO

w KRAKOWIE, ulica SIEMIRADZKIEGO L. 1.
przyjmuje wszelkie przypadki z wyjątkiem zakaźnych i psychoz. Opłata od 15 zł. dziennie. Znakomity nowy francuski **aparat Röntgena** (pod wytrawnym kierownictwem p. Dr. Korabczyńskiej), **nowa lampa kwarcowa, djatermja** i inne przyrządy także do użytku chorych przychodnich.

NA RATY!

J. i S. EMMER, Kraków, Florjańska 43

(front). Tel. 42-11. Na sezon wiosenny i letni: Ubiory męskie. — Okrycia damskie. — Futra. Suknie i Materiały. Płótna. Bielizna. Trykotaże oraz Obuwie i Ubiory gotowe i na miarę.

BARDZO DOGODNE WARUNKI.

ZAKŁAD ART. RYTOWNICZY wyrób pieczętek,

JANA WIDLŃSKIEGO numeratory, meda-

le, odznaki, gwoź-

Kraków, Rynek Linia A-B 46 l. p. dzie do sztandarów.

RESTAURACJA POWSZECHNA I SKŁAD TOWARÓW KOLONIALNYCH

H. DEL-PONTI — KRAKÓW, KARMELICKA 17

POLECA DOSKONAŁE

OBIADY Z 3-ech DAŃ PO ZŁ. 1.60.

WIKTOR BROMOWICZ

Kraków, ulica Szczepańska L. 1



MAGAZYN BŁAWATNY ORAZ
PIÉRSZORZÉDNA PRACOWNIA

SUKIEN I KOSTJUMÓW DAMSKICH

GOTOWE: KOSTJUMY, PŁASZCZE I BLUZY.

BIURO ARCHITEKTONICZNE I BUDOWLANE

Inż. EDWARDA OKONIA

ARCHITEKTY W TARNOWIE

UL. ŻABNIEŃSKA 4 a, I. P. — TELEFON 236

wykonuje plany, kosztorysy, oszacowania, obliczenia statystyczne i budowy kościołów, dworów, szkół, plebanij, domów mieszkalnych, budynków fabrycznych, zabudowań gospod., wystaw sklepowych i wszystkich robót w zakresie budownictwa wchodzących. **Nadbudowy i przebudowy** domów oraz pojedynczych mieszkań wykonuje się na dogodnych warunkach zapłaty. **Oszacowania** uskutecznia się dla banków i urzędu skarbowego.

LEGION

CZASOPISMO ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POLSKICH W KRAKOWIE

*Oto czasy powołania,
czas czynu, czas działania,
czas ludów zbratania,
czas bratnich dusz Zmartwychwstania!*

(„Legjon” St. Wyspiańskiego sc. VI).

O ducha Polski mocarskowej.

Z okazji rocznicy walk stoczonych na ulicach Warszawy przed trzema laty, zabrała głos prasa różnych „przekonań” politycznych, siłać się nad zestawieniem bilansu rządu pomajowego. Wszędzie był utrzymany wysoki punkt widzenia ze stanowiska interesów partyjnych i osobistych — jednych przerażała ilość zaprotestowanych weksli, innych męczeństwo polskiej demokracji, innych wreszcie czarne sny prorocze o przyszłości. Lecz nawet pesymiści nie negowali istnienia w nowym porządku rzeczy tendencji twórczych, bo przecież w maju dzieją się cuda w przyrodzie, nie tylko żywej ale i martwej.

Mimo ciężkich konjunktur gospodarczych i handlowych, od których nie uleczy państwa żadna recepta partyjna, budzi się dzisiaj wewnątrz kraju duża aktywność wobec interesów państwowych i wzrasta wszędzie zainteresowanie ekspansją nazewnętrzną. Dzięki autorytetowi Marszałka Piłsudskiego, Polska staje dzisiaj na terenie międzynarodowym z całą świadomością swych celów i zadań. W narodzie znów całym rodzi się refleksja, a intelekt zaczyna brać górę nad czynnikami emocjonalnymi, których nieskoordynowane falowanie zjadało bezskutecznie energię publiczną przez długi czas.

W pierwszych latach istnienia naszej niepodległości, społeczeństwo polskie, stawszy się demokratyzmem, nie wiedziało właściwie co robić z demokracją. Ludzi t. zw. inteligentnych więcej interesowały ucieszne przygody p. Wincentego na szerokim świecie, aniżeli poważne zagadnienia państwowe. Rozhałasowana część ogółu widziała w demokracji jakąś nieokiełznaną dziką wolność, konkretny żer i nieodpowiedzialność za losy państwa, które było dla niej jakimś podarunkiem imieninowym, a nie owocem morza przełanej krwi polskiej.

Polski parlamentaryzm tworzył się w warunkach wyjątkowych, więc można do niego zastosować przysłowie: jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz — elementy ideowe walczyły wtenczas na froncie z myślą o obronie granic i z głęboką wiarą, że czynniki, które doszły w tym czasie do władzy w państwie, pójda ich śladem w wyścigu twórczym i uszanują nieśmiertelny czyn zbrojnego wyzwolenia. Tymczasem stało się inaczej. Bierność szerokich mas, znękanych wojną, pozwoliła często wypłynąć na wierzch różnym geszefciarzom, z których wielu do dnia dzisiejszego pozostaje w kontakcie z wrogami państwa, bo wśród wrogów wyrosli i z nimi się żyli jak z braćmi. Ci przypadkowi wybrańcy ludu przeciągnęli środek ciężkości bytu państwowego na swoje łono. Pod ich wpływem zapanowała w Polsce atmosfera niemocy i omdlenia. Dobra wola jednostek, stanowiących większość w państwie, stała się bezsilną wobec złej woli zbiorowej, stworzonej sztucznie przez czynniki nieodpowiedzialne, w atmosferze zatrutej miazmatami niewoli, bo psychika zbiorowa jest czemś więcej niż sumą psychik jednostkowych.

W pewnej chwili atmosfera się oczyściła pod działaniem elektroluksu puszczonego w ruch przez Człowieka, który w chwili krytycznej wziął na siebie odpowiedzialność za losy państwa, i czyści się w dalszym ciągu, akumulując energię twórczą na gruncie państwowym i polskim. Przytem ustrój demokratyczny nie został nigdzie naruszony, bo demokracja to nie dzika wolność, ale system zdobyczy na polu pracy, odpowiedzialność, dyscyplina i okiełznanie warcholskich zapędów jednostki. I kurs przeszkolenia, który przechodzi dzisiaj nasza demokracja, nie wyjdzie na złe państwu, ani jej samej.

Mimo złowieszczych krakań sytuacja wewnę-

trzną uległa ostatnio definitywnej stabilizacji, a cały wysiłek rządu idzie po linii stworzenia trwałego programu gospodarczego, bo państwo nowożytnie nie jest aktem rewolucyjnej improwizacji, ale machiną, którą trzeba montować w ciągu szeregu lat w spokoju i rozważce. Na czele aparatu państwowego stoi dzisiaj rząd sprężysty i ponadpartyjny, rząd wysokich urzędników, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za losy państwa wobec historii.

Z wielu zagadnień politycznych wysuwa się dzisiaj na pierwszy plan projekt zmiany konstytucji, wniesiony do sejmu przez B. B. W. R. Dyskusja nad projektem winna mieć charakter rzeczowy, bo nie jest on zamachem na wolność obywateli i na demokrację, jak twierdzi opozycyjna prasa i jej wodzireje. Przeciwnie projekt rozszerza dotychczasowe pojęcie demokracji, proponując wybór Prezydenta Rzeczypospolitej przez cały naród. Ten punkt projektu staje się drażliwym dla przywódców mas, chcących uchodzić stale za jedynek i nieodpowiedzialnych przed nikim wybrańców ludu. Całość projektu ma na celu wzmocnienie i usprawnienie władzy wykonawczej, bez której nie może ostać się dzisiaj żadne potężne państwo. Prawdziwy Polak zdaje sobie sprawę, że idzie tutaj o ujęcie w karby systemu państwowego żywiołów rozwichrzonych, pozostających często na żołdzie państw obcych.

Obawa przed tyranją własną w dzisiejszych czasach jest rzeczą śmieszną i głupią, a szerzą ją wśród mas ludzie nieodpowiedzialni. Legjoniści i członkowie Federacji Obróńców Ojczyzny stoją wiernie przy boku rządu Marszałka Piłsudskiego, który pracuje z całą świadomością dla wielkości państwa, celem wskrzeszenia Polski Jagiellonów i Batorych. Rząd obecny nie jest wrogiem robotników i chłopów, bo jego celem jest praca dla dobra klas pracujących. Zrozumieli to socjaliści warszawscy (frakcja), a 1-go maja na ulicach Warszawy łomotały ich czerwone sztandary, zwiastując wyzwolenie polskiego robotnika z pod wpływów agitatorów niemiecko-bolszewickich. Rząd obecny rzeczowe programy robotnicze, rolnicze, przemysłowe i inne będzie napewno uzgadniał z całą życzliwością, lecz programów o tendencjach politycznych, których jedyną zaletą jest frazeologia i doktrynerstwo, uwzględniać nie będzie, bo to już należy do innej dziedziny życia.

Nie wolno jednak stronictwom politycznym konszachtować zagranicą przeciwko własnemu rządowi, bo przez to wskrzeszają haniebną tradycję przeszłości. Jedni starają się podkopywać autorytet rządu Marszałka we Francji, mieniąc się w swej szczupłej ilości jedynymi szermierzami przymierza polsko-francuskiego, podczas gdy ich wypłowiata ideologia nie ma nic wspólnego z duchem Francji współczesnej. Inni kokietują Niemców i szukają tam oparcia w walce o demokrację. Sprowadzają do Polski niemieckich „pacyfistów”, tym razem po cywilnemu, którzy propagują całkowite rozbrojenie narodów i twierdzą, że masy są za porozumieniem polsko-niemieckim, tylko „rządy, cała maszynierja państwowa tłumi głos serc”.

Życzą sobie przebudowy administracji polskiej na wzór administracji niemieckiej, bo „w Niemczech urzędnicy muszą rozumieć, że są urzędnikami Republiki, że biorą pieniądze od Republiki, że więc powinni służyć Republice”. Polscy obrońcy demokracji przyklaskują tej obłudzie niemieckiej, nazywają obecny rząd „systematycznym bezprawiem”, które „gubi Polskę” i przepowiadają „pełne sukcesy” dla swego oręża w niedalekiej przyszłości. Wreszcie o jakiejś ideologii polskich kilkunastu komunistów nie może być mowy, gdyż streszcza się ona w dolarze, rublu i marce.

W ten sposób polityka wewnętrzna łączy się często z zagadnieniami polityki zagranicznej, które niewiele interesowały nasze stronnictwa polityczne, o ile nie łączyły się z ich interesami partyjnymi. Szerokie masy, karmione różnemi bujdami i frazeologią wiecowa, okazują u nas bierność wobec wielkich zadań Polski na terenie międzynarodowym, a przecież demokracja wymaga od wszystkich obywateli aktywności także i w tym kierunku, tembardziej, że myśl polityczna Polski ma tam zadanie nadzwyczaj trudne, bo musi walczyć z obojętnością, intrygami i zasadzkami.

Ekspansja polityczna każdego państwa jest zależna od całego szeregu warunków, z których najważniejszymi są położenie geograficzne, stosunki historyczne, konjunktury gospodarcze i wspólnoty kulturalne.

Jest modną dzisiaj koncepcja federacji państw Europy środkowej, która byłaby naszym zdaniem bardzo wygodną dla polityki niemieckiej. Stworzenie takiej niedorzecznej federacji przyczyniłoby się do rozbicia jedności narodowej Polski i Czechosłowacji i byłoby na rękę Niemcom, którzy staraliby się oddziaływać we własnym interesie na poszczególne prowincje.

Polityka zagraniczna Polski ma naogół charakter obronny. Idąc równolegle z polityką francuską, angielską i włoską na terenie Europy środkowej i południowej, godzi w sposób nadzwyczaj delikatny różne rozbieżne kierunki, i trzeba przyznać, że osiągnęła tam wielkie sukcesy, ponieważ niema dzisiaj państwa w tej części Europy, któreby prowadziło politykę agresywną w stosunku do Polski.

Z przyczyn geograficznych i politycznych wypada uznać Karpaty za linię podstawową polskiej polityki zagranicznej, a w dalszej perspektywie linię Dunaju i linię mórz. Wzdłuż tych linii powinna pracować polska myśl ekspansywna, zabezpieczając sobie kredyt i wpływy w państwach środkowej, południowej i południowo-wschodniej Europy. Ekspansja nasza na tych terenach jest o tyle ułatwiona, że prawie wszędzie toruje jej drogę polityka francuska, a z Italią Polska jest w kontakcie bezpośrednim. Zajmując stanowisko w środku Europy, jesteśmy wystawieni na nadzwyczajną aktywność polityczną, gospodarczą i intelektualną. Naszym autorytetem mamy oddziaływać na szereg państw i wyrabiać wśród nich zaufanie do Polski. Dotychczasowa polityka Polski poruszała się po tej linii bardzo roztropnie, brakowało jej jednak



Komendant J. Piłsudski wśród Strzelców na froncie.

zawsze silniejszej współpracy czynników kulturalnych i gospodarczych, których mobilizacja idzie u nas dosyć powoli z przyczyn niegodnych publikowania. Nasze współzycie z Czechosłowacją (17 m. m.) w ostatnich czasach układa się pomyślnie, a wspólnoty historyczne i kulturalne staną się podstawą do dalszej współpracy z bratnim narodem. Z Rumunią (17 m. m.) pozostawaliśmy w ścisłym kontakcie od XIV wieku, a dzisiaj łączy nas sojusz i braterstwo broni. Zadaniem polityki zagranicznej polsko-rumuńskiej jest przeciwstawienie się w odpowiedniej chwili ekspansji rosyjskiej na Bałkany. Rumuni muszą także wykazać dużą odporność wobec Niemców, którzy nie zaniebają swego parcia na Wschód w kierunku na Konstantynopol i Bagdad, i dążyć będą do poróżnienia Rumunii z Polską w imię współpracy niemiecko-rosyjskiej. Z państwem węgierskim (8 m. m.) żyjemy w bardzo dobrych stosunkach, bo z narodem węgierskim łączy nas więzy historyczne, kulturalne i idea rycerskości. Tutaj leży przed Polską i Italią, które do narodu węgierskiego odnoszą się z dużą sympatją, bardzo trudne zadanie łagodzenia ostrych konfliktów, istniejących między Małą Entente'ą a Węgrami. Poza tym żyjemy w dobrych stosunkach z Jugosławią (12 m. m.), z Italią (40 m. m.), z Bułgarią (5 i pół m. m.) z Turcją (14 m. m.) i t. d.

Nasza ekspansja ma więc kierunek południkowy. Mając silne oparcie w przymierzu polsko-francuskim na zachodzie, rozwija się także pomyślnie w kierunku

południowym przy poparciu ze strony Anglii na terenie państw bałtyckich. Tymczasem z prawej i lewej strony obserwują nas zazdrosnym okiem Rosja i Niemcy. Współzycie i utrzymanie dobrych stosunków z Rosją są nam naturalnie więcej potrzebne aniżeli fikcja przyjaźni z Niemcami. W tym też kierunku idzie dzisiaj duży wysiłek naszej polityki zagranicznej.

Stanowisko Polski wobec Niemiec winno być rzeczowe, ale i bezwzględne w niektórych ważnych pociąganiach. Historia nie podaje nam faktów, któreby przemawiały za dodatniem ustosunkowaniem się Niemiec względem Polski. Sojusze i traktaty z Niemcami nie zbawia Polski, gdyż w chwili krytycznej nacjonalista niemiecki zerwie traktat i rzuci się na nią niespodzianie z nożem. W czasie znów trwania „przyjaźni polsko-niemieckiej“, Niemcy będą usypiać naszą czujność, będą nas oczarowywać ideałami swej kultury, ażeby umysłowość polską odpowiednio nasiąknęta niemieckimi bakcyliami zdezorientować i pochłonać w swoim czasie część naszego państwa.

Wystąpienie dr. Schachta w Paryżu i zajścia opolskie, gdzie bandy rozwyrzonych Niemców haniebnie napadły, pobiły i poraniły polskie artystki i artystów, wywołały w całym naszym obozie legionowym okrzyk potępienia pod adresem polityki i kultury pruskich junkrów. Imieniem tych wszystkich, którzy walczyli o wolność Polski w ciągu 150 lat, piętnujemy w tej chwili potworne zamiary pruskiej hydry, a dla tych, którzy otwarcie żądają polskiej ziemi, mamy

tylko jedną odpowiedź: Wara!!! Niemiecki Drang nach Osten już się skończył, bo wzdłuż naszej zachodniej granicy stoi murem masa ożywiona duchem narodowym.

Wobec tego co się działo i wobec tego co się dzieje, w Polsce musi się obudzić reakcja uczuć wobec całej kultury niemieckiej, która w czasach niewoli prześląknęła automatycznie nasze życie intelektualne i zawróciła w głowie wielu ludziom.

Kogóż te i podobne zagadnienia mają zajmować

i interesować, jeżeli nie ogół obywateli. Poco sobie zastruwać życie zgorzkniałym pesymizmem niedoszłych kandydatów na ministrów z tego lub tamtego stronnictwa. Wszyscy powinniśmy być dumni z silnej władzy, na którą zdobyła się Polska po trzystu latach niemocy.

Na temat zagadnień związanych z duchem Polski mocarstwowej otwieramy dyskusję na łamach „Legjonu” z okazji trzechlecia rządu pomajowego.

Joanna d'Arc, a duch pogranicza.

Z okazji 500-lecia oswobodzenia Orleanu.

Piękna akwaforta humorysty colmarskiego Hansi'ego z 1911 r. przedstawia kobietę alzacką, klęczącą przed ołtarzem, na którym wznosi się postać Joanny d'Arc na koniu przed bramami Orleanu. Pod obrazem artysta umieścił napis: „Błogosławiona Joanno d'Arc módl się za nami!” Napis zdziwił niektórych, ponieważ Błogosławiona pochodziła z Lotaryngji, a Alzacja jest kontrastem Lotaryngji. Jednak dzieło Hansi'ego nie jest zwyczajnym tworem wyobraźni artystycznej, lecz szczęśliwym zobrazowaniem wiele znaczącego zjawiska, którym jest przejęcie kultu Dziewicy przez Alzację. Racji bytu tego zjawiska i jego przeznaczenia można się dopatrzyć w zamierzonych początkach naszej historii.

Najnowsze badania nad Galją, wykazują, że u podstaw narodowości francuskiej istniały dwa różne żywioły, żywioł ekspansji, reprezentowany przez Celtów, i żywioł oporu, reprezentowany przez Ligurow.

Celt był wysokiego wzrostu i silnej budowy, okazały z wyglądu, ruchliwy, impulsywny i żądny przygód; jego wojownicze wyprawy, od brzegów Oceanu do doliny Dunaju, od Belgii do Rzymu, od Małej Azji do Kartaginy, napełniały szczękiem broni świat starożytny. Ligurowie „długowłosi” byli średniego wzrostu i wąskiego wyglądu, wytrwali, podstępni, cierpliwi, słynęli jako zręczni kamieniarze i pomysłowi rzemieślnicy, i odznaczali się dzikim przywiązaniem do ziemi rodzinnej. W czasie wojny Celtowie tworzyli świetną kawalerję, lubującą się w dalekich wyprawach i w gwałtownych szarżach. Ligurowie stawali się niezrównanymi piechurami, którzy umieli walczyć uparcie o każdą piędź ziemi i wykorzystywać najmniejsze nierówności terenu, chociaż ich wszędzie bito i przepędzano, oni nigdy nie zostali całkiem pobici i niepokoiли wiecznie przeciwników.

Ustępując około V w. przed Ch. pod silnym naporem Celtów, Ligurowie znaleźli sobie punkty zaczepienia na terenach pogranicznych Galji. Na pograniczu lądowym osiedlili się wśród wysokich szczytów i lasów (na wschodzie, na szczytach Wogezów, na wzniesieniach Mozy i w lasach Sundgau), a na pograniczu morskiem wzdłuż przyłądków, wysp i półwyspów,

podczas gdy Celtowie zajmowali równiny, zatoki morskie i ujścia rzek.

Pod względem zaludnienia porównywano ówczesną Galję do orzecha, którego jądrem byli Celtowie a skorupą Ligurowie. Linja odgraniczająca jednych od drugich nie była prostą, ani krzywą o stałym kierunku, lecz jej kierunek zależał od ukształtowania terenu; z tego powodu siedziby Celtów i Ligurow zachodziły jedne na drugie.

Kiedy koczujące plemiona germańskie wtargnęły do Europy środkowej, zajmując rozległe obszary bagien i lasów, ażeby stamtąd niepokoić Galję bezustannymi napadami, wtedy zbyt cienka skorupa orzecha załamała się pod ich naporem. Celtowie i Ligurowie zostali odrzuceni jedni na drugich i pomieszani ze sobą, a w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa zjednoczyli się w obronie własnej egzystencji w jednolity organizm. W tych czasach powstawała na ziemiach Galji nowa umysłowość, nie odznaczająca się już cechami wyłącznie celtyckimi lub liguryjskimi, lecz będąca twórczą syntezą charakterów tych obu narodów. Tę nową umysłowość można nazwać duchem pogranicza.

Zdarza się rzadko, ażeby kraj cały uległ najazdowi. Germańskie wyprawy łupieskie nie sięgały w głąb kraju, nie przekraczały nawet Mozy i Mozeli, a po obłowieniu się w łupy wracały za Ren. Z tej przyczyny ciemniejszą była prawie zawsze ludność kresowa, wystawiona na ciągłe łupiestwa i żyjąca w stałej niepewności jutra. — Czy na polu, wydeptanym przez wczorajszą walkę, nowe żniwo będzie zbierane przez prawowitego posiadacza, czy też przez łupieskiego najeźdźcę? Czy owoce zniszczonego sadu mieć będą czas dojrzeć, a dom spalony odbudować się z popiołów przed nowym najazdem? Czy synowie tych, którzy krwią użyźnili brzozy poległą tam, gdzie polegli ich ojcowie w obronie ognisk domowych?

Ta tragiczna niepewność rozwija u ludności pogranicza specjalne zdolności i uczucia: niepokój czuwania w czasie pokoju, rozpaczliwą energję w walce, wytrwałość stale odradzającego się wysiłku, namiętną miłość ziemi rodzinnej, która kosztowała, kosztuje i kosztować będzie wiele krwi.

Z popiołów poległych w walce powstała Ojczyzna. — powiedział Lamartine.

Ten duch pogranicza, a więc nietylko duch lotaryński, ożywiał Joannę d'Arc, która urodziła się na pograniczu dwu krajów. Kiedy księstwo Baru, w którym leży Domremy wieś rodzinna Joanny d'Arc, zostało pochłonięte przez księstwo lotaryńskie, wtedy Francji przypadła w udziale także część tego księstwa. Obok „Barrois książęcego”, powstało „Barrois królewskie”. Strumyk, który dzielił Domremy na dwie części, znaczył granicę między temi dwoma Barrois.

Fakt ten posłużył uczonym do dyskusji na temat narodowości Dziewicy. Czy jej dom rodzinny był położony na brzegu lotaryńskim, czy na brzegu francuskim. W późniejszych czasach strumyk zmieniał kilkakrotnie koryto; kwestja stałaby się nierozwiązalną, gdyby fakty historyczne nie oświeciły dokumentów topograficznych. Najpierw rodzice Joanny d'Arc byli pochodzenia francuskiego: ojciec Jakób d'Arc urodził się w Ceffonds (w Szampanji) z rodziców przybyłych z Arc (w Barrois); matka Izabela Romée pochodziła z Vouthon (w Barrois królewskim).

W czasie najazdu wojsk burgundzkich na Domremy w 1422 r., mieszkańcy wsi nie szukali schronienia ze swym dobytkiem w Lotaryngji, lecz na ziemi francuskiej w Neufchâteau. Joanna d'Arc przed rozpoczęciem misji udała się do najbliższego miasta francuskiego Vaucouleurs i tam zwróciła się do przedstawiciela króla p. de Baudricourt. Tymczasem ks. lotaryński Karol II. (wasal cesarza i króla francuskiego równocześnie), który spodziewał się cudownego uleczenia z choroby przez młodą prorokinię, nie chciał w niczem mieszać się do jej zamiarów.

Wreszcie obaj rycerze, którzy eskortowali bohaterkę do Chinon, Jan de Novelonpont, zwany Jan Metz'u i koniuszy Bertrand de Poulengy, nie byli poddaniymi księcia lotaryńskiego, lecz obywatelami Republiki Mesyńskiej.

Uważając się za Francuzkę, Joanna d'Arc podniosła sztandar wojenny nie poto, ażeby bronić swej wsi i swej prowincji, lecz ażeby położyć kres „wielkiemu poniżeniu królestwa francuskiego”. Wszędzie myśli, mówi i działa jako Francuzka, a etapy jej misji potwierdzają to stale. Dokąd się udaje? — do Chinon do rezydencji słabego „króla z Bourges”, w którym swoim głębokim instyktem odgaduje punkt oparcia dla koncentracji sił francuskich i do podniesienia ducha narodowego. Z Chinon maszeruje na Orlean, Orlean! ostatnie przedmurze władzy królewskiej, głośnie przez swoją bohaterską obronę — Verdun wojny stuletniej! I tam jak pod Verdun w 1916... „Oni nie przyjdą” — zapewnia Joanna Delfina. Po Orleanie, Reims! Dla czego Reims?

Od epoki gallo-romańskiej Reims był wielkiem miastem na wschodzie i ośrodkiem obozu obwarowanego, który osłaniał z jednej strony granicę reńską, a z drugiej strony Galję. W Reims w 70 r. po n. Ch. przedstawiciele narodów galickich wypowiedzieli się za wiernością cesarstwu rzymskiemu, a przeciwko przymierzcu z Batavem Civilisem, który ciągnął za so-

bą dzikie hordy germańskie. Przez chrzest Clovis'a Reims stał się metropolją kościelną. Za Merowingów stał się stolicą Austrazji, z której Brunehaut chciał uczynić bastjon wpływów łacińskich przeciwko barbarzyństwu z za Renu. Za panowania Kapetyngów Reims odzyskuje swoje znaczenie strategiczne, które utracił za Karolingów, i ma osłaniać Paryż — tutaj wystarczy nadmienić, że między 945 a 980 cesarz Otto Wielki podszedł aż trzy razy pod bramy stolicy. Do tego znaczenia strategicznego dołącza się fakt o znaczeniu politycznem, od czasu Filipa Augusta przywilej konsekracji króla łączył się z katedrą w Reims.



Wjazd Joanny d'Arc do Orleanu.

Następnym etapem misji Joanny d'Arc byłby Paryż, dokąd udawali się królowie z Reims po konsekracji, a przez wjazd triumfalny do stolicy stawali się politycznie władcami kraju. Lecz to usiłowanie nie powiodło się z powodu zazdrości i małostkowych intryg, knowanych przez doradców Karola VII. Dziewica została ranna, a dowódcy wojskowi wykorzystali tę okoliczność, ażeby zaniechać wysiłku, bo nie pojmowali jego wielkiej wagi.

W szybkiej i świetlanej karierze Joanny d'Arc niema już ani śladu ducha prowincjonalnego i feodalnego. Przedtem wszystkie prawie wojny miały charakter lokalny lub prywatny: pan walczył z panem, miasto z miastem, prowincja z prowincją, wasal z lennowładcą. Wojna stuletnia otwierała nową erę jako pierwsza wojna narodowa. Prawie połowa Francji dyssała wtedy pod obcym najazdem. Niebezpieczeństwo

mogło być zażegnane jedynie jednolitą siłą ducha narodowego. Współcześni Joanny nie mieli jasnej świadomości groźnego niebezpieczeństwa. Lecz to, czego nie mogli pojąć dowódcy wojenni i spytni politycy z rady królewskiej, to pojęła 17-letnia wieśniaczka, która miała cudowną intuicję Ojczyzny, jednej i niepodzielnej, świętego zjednoczenia w imię całości terytorjum. Jej cudowną rolę powiększa jeszcze ten fakt, że swą intuicję zdołała przelać w masy ludowe. W „Journal d'un Bourgeois de Paris” jest mowa o małej dziewczynce bretońskiej Perrinaïc, której ukazał się Chrystus „ubrany w różowy płaszcz” i polecił połączyć się z Joanną d'Arc; pochwycona przez Anglików, mała Bretonka została spalona żywcem na dziedzińcu Notre-Dame w Paryżu, na kilka miesięcy przed śmiercią Joanny d'Arc. — Legenda!... powiadają. Możliwe! Ale czyż legendarnem było wtedy spotkanie się nad Loire'ą duszy lotaryńskiej z duszą bretońską? Już samo istnienie takiej legendy jest dowodem wzruszającym i niezbitym powstania świadomości narodowej.

W tem jest drugi cud tego jedyne go przeznaczenia w historii. Przez ten cud, Dziewica Domremy nie należy do żadnego stronnictwa ani prowincji, wszyscy Francuzi mogą się powoływać na nią — a przede wszystkim ci, którzy walczyli z obcym najazdem i bronili prawego gniazda ojczyzny.

W ten sposób akwaforta Hansi'ego jest wyrazem istotnej prawdy. A duch Joanny d'Arc, to duch pogranicza, który był ostoją dla Alzacji i Lotaryngji w czasie półwiekowego ucisku. On tętnił w cierpkiej ironji

Hansi'ego i Zislin'a, on rozbrzmiewał z trybuny Landesausschluss'u i Reichstagu w płomiennych przemówieniach Kable'go, Dollfus'a, Weterle'go, Preiss'a; on protestował z anektowanymi patriotami przed trybunałami pruskimi jak Joanna przed sędziami w Rouen, trwając w wierności dla Francji.

Podobnie jak Dziewica Orleańska, Alzacja słyszała w swoim więzieniu tajemnicze głosy, które jej stały napomnienia: głosy poległych pod Wissenburgiem, głosy wygnańców i żołnierzy legji cudzoziemskiej. A ten sam duch oporu i wytrwałości pomaga jeszcze teraz w ciężkim kryzysie „Autonomizmu” „wyrzucać cudzoziemca z kraju” bez względu na maskę, pod jaką się ukrywa.

Wobec potęgi tego cudu narodowego, który zajaśniał obok cudu religijnego, wszyscy ci, którzy urodzili się Francuzami, wierzącymi lub niewierzącymi, Bretończykami lub Prowansalczykami, Baskami lub Alzaczycami, Sabaudczykami lub Flamandami, mogą złożyć u stóp Dobrej Joanny d'Arc zapał i gorliwość swych serc, stojąc jak bracia jedni obok drugich.

Wobec potęgi tego samego cudu, Francuzi i Polacy mogą poprzez Niemcy, czcić wspólnym kultem Joannę d'Arc, ażeby podtrzymywać i umacniać ducha narodowego, który na ich pograniczach jest stale wystawiony na otwarte i skryte ataki ze strony Niemców, gotowych zawsze do napadu na Polskę i Francję.

A. Neibecker.

Agrégé de l'Université
Professeur détaché par le Ministère des Affaires
Etrangères à l'Université de Cracovie.

Poświęcenie sztandaru Związku Sybiraków Okręgu Krakowskiego.



Sztandar Związku Sybiraków Okręgu Krakowskiego.

Zorganizowany w listopadzie 1928 r. Związek Sybiraków w Krakowie osiągnął w krótkim czasie dużą spistość organizacyjną. W ciągu półrocznej działal-

ności, Zarząd Krakowskiego Okręgu Sybiraków z p. Bitnerem na czele skupił pod swym sztandarem liczne grono żołnierzy i wygnańców, którzy wśród śniegów Syberji walczyli o Polskę i śnili o Polsce. Po trudach niewoli i wojny nasi Kochani Sybiracy wnieśli na wawelskie wzgórze i w szeregi Federacji Obrońców Ojczyzny wraz z wielkopomną tradycją płomienny zapał czynu i wiarę w Polskę. Jako wierni żołnierze Rzeczypospolitej zrozumieli od razu cele i myśli ich Wielkiego Sybiraka a naszego Komendanta, a swoją aktywną podstawą na gruncie społeczno-państwowym wielce zasłużyli się sprawie. Dzisiaj na czele Sybiraków stanął znowu jako prezes Prof. R. Dyboski, po powrocie z Ameryki, gdzie reprezentował szczerze Polskę i polską naukę przez dłuższy czas. Jego nazwisko mówi za wszystkich!

Koroną działalności Zarządu Okręgu Związku Sybiraków będzie uroczyste poświęcenie sztandaru, ufundowanego przez Związek Sybiraków, które odbędzie się dnia 9 czerwca b. r. w katedrze wawelskiej i na dziedzińcu arkadowym zamku królewskiego.

Zarząd Federacji obrońców Ojczyzny i Okręgowy Zarząd Związku Sybiraków zapraszają wszystkich członków Federacji do liczego wzięcia udziału w tej podniosłej uroczystości.

Zarząd Związku Legionistów Polskich Oddział w Krakowie, wzywa wszystkich Członków do stawienia się w lokalu Związku na Wawelu w niedzielę dnia

9 czerwca b. r. o godzinie 8-mej rano, skąd Związek wyruszy ze sztandarem do katedry.

Apelujemy także do obywateli m. Krakowa, ażeby raczyli wziąć tłumny udział w tem wielkiem święcie i złożyli w ten sposób hołd sztandarowi, który jest symbolem cierpień i tęsknoty za Ojczyzną.

Pamięci twórczego żołnierza Legionów.

Przemówienie wygłoszone na Akademji, urządzonej w Jaworznie
10 marca b. r. dla uczczenia zasług ś. p. Tadeusza Zwiłłockiego.

Uroczysta Akademia dla uczczenia świetlanej pamięci niedawno ku powszechnemu żalowi zmarłego Dyrektora Tadeusza Zwiłłockiego jest nietylko wyrazem głębokiego żalu i aktem hołdu dla zasług wybitnych Zmarłego i wielkości Jego serca. Jest w tem również niewątpliwa serdeczna chęć używotnienia pracy tego zasłużonego i drogiego nam wszystkim człowieka, używotnienie niemal Jego osoby, tak bliskiej nam i jeszcze jakby współżyjącej. Bo wobec bezlitosnej, tak niespodziewanej śmierci, wprost niemożliwem wydaje się Jego na wieczność odejście. Prostu zdaje się nam, że On tylko odjechał od nas na dłużej, że pracuje na innym posterunku, może jeszcze w tym myśla i woła Jego budowanym „Tarno-Azocie“, a może gdzieś dalej na placówce nowej nam jeszcze nieznaney. Smutna wiadomość o Jego śmierci, a nawet nasz udział w Jego pogrzebie w Krakowie i Warszawie, wydaje się nam jakąś przykrą zmorą senną, gdy tak silnie jeszcze odczuwana jest przez nas Jego żywotność.

Tę właśnie owocną i twórczą żywotność ś. p. Tadeusza Zwiłłockiego w dzisiejszej akademji, ku Jego czci urządzonej w Jaworznie, pragniemy jaknajmocniej podkreślić i dalszej pracy żyjących przekazać. Bo gdy „z żywymi trzeba naprzód iść, po życie sięgać nowe“, w to życie nowe, dzisiaj coraz bujniejszym tchnieniem budzące się po szerokich rozłogach życia polskiego, winniśmy ponieść także gorące tchnienie tego właśnie młodego życia, które niedawno jeszcze było jednym z niezwykle bujnych pędów Ojczyzny naszej z jej wielkich lat przełomowych.

Ś. p. Tadeusz Zwiłłocki całą istotą swego życia, swego trudu i ducha swego należał do pokoleń Walki z wielkich dni przełomu historycznego pokolenia, które natchnione orlą myśla i woła niezłomną Józefa Piłsudskiego, raz podjąwszy żołnierski i obywatelski trud o Niepodległość i Wielkość Ojczyzny, niezłomnie trwa w ciągłej nieustającej państwo-twórczej pracy.

Był jednym z najbardziej nieugiętych Piłsudczyków, w tej przynależności nietylko wierność i miłość dla Wodza stwierdzając, lecz przede wszystkim gorącą wolę czynu i nieustającego trudu w myśl wielkich wskazań Komendanta.

Ogniskiem, które zapaliło Jego serce młode, było gorące miasto kresowe, Lwów, gdzie ś. p. Tadeusz Zwiłłocki, urodzony w Czerniowcach w r. 1890, osiada i spędza swe najmłodsze lata, wcześniej już wchodząc w działającą nań silnie atmosferę zrywającego się tutaj nowego życia. Nie tu miejsce odtwarzać nastroje polskiego wulkanu, budzącego się w sercu lwiego grodu w pierwszym dziesięcioleciu 20 wieku. Stwierdzić tylko pragnę, że te gorące nastroje lwowskie, których duszą był nie kto inny, jak właśnie Józef Piłsudski, wcześniej ogarnęły młode serce ś. p. Zwiłłockiego i na zawsze uczyniły zeń Żołnierza Sprawy.

Już więc w gimnazjum będąc, pracuje w organizacji niepodległościowej, a następnie jako słuchacz filozofji Uniwersytetu lwowsk., gdzie studjuje chemję, wstępuje do Związku Walki Czynnej i odtąd już na stałe wchodzi do grona najbliższych towarzyszy pracy Józefa Piłsudskiego. Obok z zapalem jednak prowadzonej pracy w Strzelcu i w organizacjach młodzieży ś. p. Zwiłłocki ma czas na wytężoną i sumienną pracę naukową, dzięki czemu staje się wybitnym fachowcem w dziale chemji.

W r. 1914 jeden z pierwszych staje w szeregach Legionów. Wstępuje do artylerji legionowej, gdzie od szeregowca gorliwą i mężną służbą dochodzi do stopnia oficerskiego. I oto w twardej służbie żołnierskiej ś. p. Tadeusza Zwiłłockiego wypowiada się syntetycznie obraz całej bohaterskiej a krwawej drogi Legionów i całej zwycięskiej udręki nowego żołnierza Polski Walczącej.

Przydzielony początkowo do artylerji II Brygady, przebywa najpierw dolę legionisty-tulacza, okrężną-daleką drogą wędrującego poprzez obce ziemie, „poprzez góry, doliny i wały, dla Ciebie Polsko i dla Twej Chwały“, by potem z kolei wziąć udział w marszu I Brygady poprzez ziemie dawnego Królestwa Polskiego i znowu wejść w krąg bezpośredniej działalności Komendanta Piłsudskiego. W znanym ciężkim kryzysie przysięgowym ś. p. Zwiłłocki, ówczesnie podporucznik I Dywizjonu artylerji, bierze wybitny udział, współdziałając z ramienia tajnej rady oficerskiej energicznie i skutecznie w kierunku podniesienia ducha rewolucyjnego w szeregach legionowych i u-

trzymania ich w buntowniczym nastroju w stosunku do Niemców i uległej Niemcom wtedy Komendy Legionów.

Straszną udrękę ducha, jaką wtedy przeżył żołnierz legionowy, zmuszony w imię wyższej polskiej racji stanu wypowiedzieć posłuszeństwo wojskowe, co chyba nie lekkim było dla żołnierskiego serca, ś. p. Zwiśłocki odtwarza plastycznie w pamiętniku z tych czasów częściowo już zamieszczonym w „Słowie Tarnowskim”. Niechaj zabrzmia tutaj słowa Zmarłego, przysłane nam jakby na pociechę z tajemnych dalekich światów, jakby na przypomnienie towarzyszym broni wspólnej, niezapomnianej doli legionowej.

O dniach więc kryzysu przysięgowego pisze w pamiętniku: „Zaczęły się teraz ciężkie dni. Nerwy nasze szarpane niezwykle dla psychologii żołnierza decyzjami, obciążone świadomością, że grozi nam nieubłagany wojenny los zdeklarowanych buntowników, musiały wytrzymać brzemień bezczynności i ciężar walki z własnymi towarzyszami, drogimi nam nieraz jak bracia”.

Przykrą tę rzecz zaraz wyjaśnia:

„Pod wpływem niecofającej się przed żadną represją i przed żadnym kłamstwem polityki kpt. Zagórskiego, ówczesnego szefa sztabu Legionów, szereg słabszych jednostek zaczął się chwiać i ustępować. Odpowiadając terrorem na terror, ogłosiliśmy bojkot towarzyski tych oficerów, którzy się do naszych kroków nie przyłączyli, lub później zmienili. Ciężkie dni płynęły jeden po drugim”.

Sprawiedliwym będąc w ocenie ciężkiej sytuacji, ś. p. Zwiśłocki hołd należny w pamiętniku oddaje najbardziej zasłużonym. „Przysięga — pisze — spełzła na niczem. Duch wśród podoficerów, tej warstwy, która najwięcej dźwigała codziennej pracy i trudów, najmniej mając za to nagrody, był niezłomny. Wpływ ich na masy żołnierskie wobec silnego zakadrowania i wysokiej ideowej wartości żołnierza, był wielki. Nie przysięgał nikt. Był to wspaniały widok tych szeregów zamarłych we wzorowej postawie żołnierskiej, a niezłomnych wobec fałszywej sugestii karności”.

Cytowany pamiętnik przytacza szereg dramatycznych chwil, które w tym czasie przeżył żołnierz legionowy, a które utrwalone przez bezpośredniego uczestnika, będą na zawsze obrazem twardej a bohaterskiej drogi, jaką niezłomny żołnierz Legionów, w gwiazdę Wodza wpatrzony, szedł mężnie, wśród niezrozumienia ze strony własnego społeczeństwa, a nawet chwilami ze strony najbliższych towarzyszy broni.

W następstwie nieugiętego stanowiska ś. p. Zwiśłocki został zwolniony z Legionów i karnie przeniesiony do armii austriackiej, gdzie go czekały represje jako napiętnowanego dwiema znanymi literkami p. v. (politisch verdächtig). Wraz z nim mieli odejść por. Antoni Durski, syn b. dowódcy Legionów, kpt. dr. Ryszard Kunicki, ppor. Leon Loria, ppor. Tadeusz Schätzel, ppor. Aleksander Wieleżyński i ppor. Feliks Kamiński. Nie od razu i nie wszystkim wypełniła się narzucona twarda dola ciężkiej służby w obcych szeregach. Po przebyciu krótkiego etapu w twierdzy

przemyskiej, kiedy to niektórych dotknęło więzienie, innych załamanie się, a olbrzymią większość pójsie „dobrowolne” w szeregi armii austriackiej, po różnych przejściach, udało się ś. p. Zwiśłockiemu rzucić więzy obcej służby i konspiracyjnie wstąpić w szeregi P. O. W.

W tym to czasie osobiście miałem sposobność bliżej poznać Zmarłego na zebraniach lwowskiej niepodległościowej inteligencji, odbywających się zazwyczaj w domu prof. Mościckiego, dzisiejszego Prezydenta Rzeczypospolitej, biorącego czynny udział wspólnie z Małżonką w ówczesnej działalności Polskiej Organizacji Wojskowej i innych pokrewnych organizacji. Wtedy też nauczyłem się cenić u ś. p. Zwiśłockiego charakter nieugięty i świadomą a konsekwentną wolę czynu.

Piękną próbą siły charakteru i zdecydowania, a zarazem dużej sprawności była skutecznie wykonana misja wojskowo-polityczna na Ukrainie i w głębi Rosji z wiosną 1918 r., dokąd wysłał go pułk. Śmigły, ówczesny komendant P. O. W., jak Zmarły zaznaczył w pamiętniku „ogólnie uważany za zastępcę Komendanta Piłsudskiego” (wówczas więzionego w Magdeburgu). Niełatwą była ta wyprawa do Rosji dla człowieka nie znającego kraju ani nie umiejącego słowa po rosyjsku. Ś. p. Zwiśłocki znakomicie trudności przewycięża, przez cały czas pobytu w Rosji utrzymując się w niełatwej roli niemowy. Dociera do Kijowa, gdzie nawiązuje kontakt z gen. Hallerem, następnie do Moskwy, gdzie znów wchodzi w kontakt z tamtejszą P. O. W., w szczególności z dr. Nakoniecznikowem, dzisiejszym wojewodą stanisławowskim, przedostaje się na Murmań, skąd spieszy za gen. Hallerem do Francji i tutaj w komendzie tworzącej się polskiej armii ochotniczej jest łącznikiem z P. O. W. Z początkiem 1919 r. przybywa do Warszawy, jako pierwszy oficer „błękitnej armii”. Niebawem w ważnej misji udaje się na Węgry dla przeprowadzenia aktualnych spraw natury wojskowej, u generała d' Esperay, naczelnego dowódcy wojsk sprzymierzonych na froncie wschodnim. Po powrocie do kraju pełni dalej służbę w wojsku, odbywa kurs oficerów sztabu generalnego i przechodzi szybko stopnie wojskowe, uzyskując stopień majora dyplomowanego. Ostatnim przydziałem wojskowym ś. p. Zwiśłockiego jest stanowisko szefa wydziału przemysłu wojennego M. S. Wojsk., gdzie szczególnie zasługuje się, organizując cały wydział, jak też stwarzając cały aparat odnośnej gałęzi. Z tej też ważnej placówki odchodzi w r. 1921 do rezerwy.

Odtąd rozpoczyna się nowa twórcza faza w pracowitem życiu Zmarłego, w dziedzinie nauki i przemysłu chemicznego. Praca technologiczna najpierw w lwowskiej spółce „Metan”, potem w Chemicznym Instytucie Badawczym, dalej po przejściu przez Polską Fabrykę Związków Azotowych w Chorzowie współpraca przy prof. Mościckim, z którym go wiążą już bliższe węzły rodzinne, jako zięcia Prezydenta. Osobną ważną pozycję stanowi praca ś. p. Tadeusza Zwiśłockiego w Jaworznie, gdzie pamięć o Nim zapisana została naprawdę złotymi zgłoskami w dzie-

dzinie zarówno pożytecznej pracy zawodowej, jak też twórczej i skutecznej pracy społecznej. Objąwszy stanowisko naczelnego dyrektora S-ki „Azot” w czasie silnego zagrożenia fabryki ogólnym kryzysem gospodarczym, dzięki niesłychanej energii i pracy, zakłady „Azotu” podźwiga, reorganizuje i wzmacnia produkcję. Początkowo pochłonięty kierowniczą pracą zawodową, rychło wchodzi w życie społeczne Jaworzna. Przedewszystkiem ściśła współpraca z najbliższymi towarzyszami broni, z bardzo ruchliwym i intensywnie pracującym Związkiem Legionistów w Jaworznie, następnie z innymi organizacjami wojskowymi, jak ze „Strzelcem”, Związkiem Powstańców Górnośląskich, jest drogą, na której ś. p. Dyrektor Zwisłocki przeprowadzał szerszą obywatelską i państwowo-twórczą działalność. W pracy swej gorliwą opiekę rozciągał zarówno nad potrzebami gminy i przemysłu, jak też robotników i towarzyszy broni, wielokrotnie pozytywnie pośrednicząc między Jaworzniem a stolicą, gdzie dzięki dużemu uznaniu, niejedną sprawę ogólną mógł przeprowadzić i niejedną troskę i biedę ukoić. To też słuszne są słowa jednego z bliskich współpracowników ś. p. Zwisłockiego: *Jaworzno straciło w Nim swego opiekuna i duchowego przewodnika*. I nic też dziwnego, że właśnie Jaworzno swemu nieodżałowanemu orędownikowi w uroczystej akademii hołd składa głęboki. Z okresu pracy w Jaworznie podkreślić jeszcze wypada zdecydowane stanowisko Zmarłego w pamiętnych dniach majowego przewrotu. Wspólnie z towarzyszami broni ze Związku Legionistów staje na czele ruchu, wchodzi w kontakt z posłem Bobrowskim w Krakowie i nie waha się pomimo zajmowanego stanowiska dyrektora instytucji przemysłowej przyczynić się wydatnie do wywołania strejku powszechnego dla poparcia doniosłej akcji Marszałka Piłsudskiego, której konieczność i cel państwowo-twórczy jako żołnierz Komendanta dobrze zrozumiał. To męskie i śmiałe stanowisko Zmarłego z uznaniem podkreślam, jako jeszcze jedną z tych zasług obywatelskich, dla których szczególnie Jaworzno ma powód żywić dlań cześć należną.

Wraz z Jaworzniem jednak, *drugie ważne ognisko pracy* opłakuje śmierć ś. p. Zwisłockiego, do tej pory przyjąć do siebie nie mogąc. Jest to nowe miasto fabryczne, „Nowy Chorzów” pod Tarnowem, czy inaczej „Tarno-Azot”, Państwowa Fabryka Związków Azotowych, której głównym twórcą był przedewszystkiem Zmarły, natchniony do tego dzieła myślą Prezydenta Rzeczypospolitej. Jego to dziełem była realizacja projektu, Jego zasługą była budowa największej w Polsce fabryki, przez Polaków budowanej, olbrzymia praca duchowa, włożona w opanowanie problemów technicznych z różnych dziedzin, jak chemia, mechanika, elektrotechnika, budownictwo i inne działy. Jakby z pod ziemi wyrosło pod Tarnowem wielkie miasto fabryczne, które już dzisiaj, dzięki niezwyklej energii ś. p. Zwisłockiego i dzięki Jego wybitnym zdolnościom organizacyjnym, przygotowuje olbrzymie warsztaty pracy, które już rychło staną się chlubą Polski odrodzonej i świadectwem jej życia twórczego, poru-

szonego tutaj głównie Jego młodą myślą, wolą i pracą. Lecz właśnie olbrzymi wysiłek umysłu, którego Zmarły nie szczędził, pracując solidnie i wżerając się fachowo we wszystkie szczegóły, nieustający wysiłek owych niezliczonych godzin wyteżonej pracy, spowodował w rezultacie zszarganie się organizmu, tak, że gdy przyszła choroba, organizm nad miarę utrudzony nie miał już sił do zdzierżenia śmierci. Choć jednak tak przedwczesna śmierć skosiła to życie twórcze, zostanie po nim potężne ognisko polskiej pracy i polskiej wytwórczości przemysłowej, jako świadectwo, że dla natur żywotnych niema przeszkód. Bo jak mawiał ś. p. Zwisłocki, w twardej szkole Komendanta wychowany, *„przeszkody są na to, by je usuwać, dodają tylko bodźca w tem silniejszym dążeniu do raz wytkniętego celu”*.

Pozostanie po nim także nie tylko serdeczna pamięć wśród rzeszy robotniczej Jaworzna i Tarno-Azotu, lecz przedewszystkiem jakże dzisiaj celowa droga pracy nad materjalnem i moralnem podniesieniem robotnika. Za jego to staraniem założono kuchnię robotniczą w fabryce tarnowskiej, kolonje mieszkalne dla robotników, przy nich park robotniczy. Z inicjatywy też Jego organizowana praca oświatowa nad obywatelskiem wyrobieniem robotnika i przeniknięciem jego kadr ideą państwowo-twórczą, — oto droga pożyteczna przekazana przez Zmarłego.

Żywotnej i twórczej jego pamięci towarzyszy także serdeczna nuta leguńskiej dozgonnej wdzięczności, *„Bo dla nas legunów* (jak wyraża się jeden z kolegów-legionistów) *Dyrektor Zwisłocki był prawdziwym ojcem i opiekunem*, zatrudniając każdego, tak, że nie było wypadku, żeby bezrobotny legionista odszedł od Niego z odmowną odpowiedzią”.

Serdeczne i ludzkie odniesienie się do pracującej warstwy, rozumienie jej potrzeb i szczerą dążność do stworzenia nowych dróg dla współpracy robotnika i przemysłowca — to niewątpliwie wskazania najrealniejszej drogi dla rozwiązania zawilego problemu pracy i jej zaspokojenia.

Droga bratniej dłoni i droga współpracy, oraz droga twardej legionowej zaciętości, której zapal i ideowość ś. p. Zwisłocki znakomicie umiał łączyć z niezwykłą i niedyletancką solidnością, *to droga Narodu i Państwa*, wskazana światłą dłonią i trudem życia Budowniczego Polski Wielkiej Józefa Piłsudskiego, a twardą i twórczą pracą Jego żołnierzy w nowe życie Ojczyzny naszej wcielona.

W ciężkiej walce o lepsze i jasne jutro, nie dla siebie, lecz dla dobra Ojczyzny i Ludu, padają coraz to inni, strudzeni żołnierze, kością śmierci porwani, lecz raz podjęty przez nich wątek pożytecznych prac trwa i rozwija się dalej, a nad ich pełnym rozwojem czuwa i po wszystkie czasy czuwać będzie twórczy duch Wodza Wielkiego.

Tylko nam żywym z nauki twórczych wysiłków, a także z nauki śmierci nieuchronnej i nieuchronnych smutków życia wysnuwać dzisiaj należy wzajemne wyrozumienie i bratnie pojednanie, tylko nam wreszcie czas zaniechać zgubnych wzajemnych oskarżeń

i niszczących słów nienawiści, a w całej pełni uznać wielkie i ofiarne wyczyny pokolenia Czynu i Odrodzenia, tego pokolenia zdobywczych Orłów młodych, wśród których jedno z miejsc pierwszych zajmował świetlany duch Tadeusza Zwiastockiego, tego, co będąc wiernym żołnierzem Józefa Piłsudskiego, był nieugiętym szermierzem Polski Niepodległej i Wielkiej, szczęśliwej szczęściem wszystkich obywateli.

Tej świetlanej pamięci i my legjoniści wraz z całym obywatelstwem Jaworzna hołd wspólny składamy, krzepiąc się nadzieją, że zarówno ukochane przez Zmarłego ognisko robotniczego trudu w Jaworznie, jak wymarzony przez Jego myśl olbrzym pracy, potężny Tarno-Azot, wysoko ku niebu wystrzeli, jako trwały znak Jego wysoko-lotnych a twórczych myśli.

Ta zaś akademja, w której biorą udział tak liczne rzesze ze wszystkich sfer, jest pożyteczną, nietylko jako akt hołdu i wspomnienia.

Oto wyrывая nas z szarzyzny dnia i jego trosk trapiących, podnosi nas ku górnym myślom i pozwala nam jaśniej widzieć to, co jest cnotą i czynem twórczym, a co w matni życia tak łatwo zwykliśmy pominąć i zwalczać nawet.

Gdy często dopiero tchnienie śmierci pozwala nam poważniej i trafniej ocenić życia wartości, niechaj szczególnie młode pokolenie, którego zastęp tak liczny bierze udział w akademji, uczy się kształtować na tych jasnych i pięknych postaciach, których życie spala się w ofiarnej służbie Państwa.

Bolesław Pochmarski.

Z życia ułanów legjonowych na froncie, czyli o tem, jak się magazynier chleba nastraszył.



Po takim marszu jak dziś należy u diabła ludziom dać porządnie zjeść a nie kawę czarną i suchy chleb. To dobre na odpoczynku, gdzie można się pozasłużbowo dokarmić. Taki wikt nie dla nas ułanów prawych — linjowych.

Gwara szła przy ognisku, które obsiedliśmy, jak wrony drzewo wieczorem. Nasz 2 pułk ułanów posuwał się wówczas forsownie z miejsca odpoczynku na front podczas ofensywy Brusilowa w roku 1916. Ponuro było w brzuchach po czarnej kawie w 5-tym szwadronie. Rzeczywiście trudno uwierzyć w logiczny sposób myślenia Naczelnego Dowództwa wojsk austriackich, ażeby taką nędzną lurą poić tak zacne twarze jak tych, którzy przy dogasającym ognisku wywlekali z kątów duszy uczucia niechęci i buntu. Gdyby A. O. K. widziało te oblicza, w które ja wówczas patrzyłem, pewnie obeszło by się bez tego, że podeptane zostały wszelkie normy organizacji wojskowej, że marny ułan potrafił wykiwać oficera inspekcyjnego, oficera prowiantowego, służbę dzienną, komendanta warty i magazyniera.

Minęło już wiele lat od tego zajścia, więc pisać już można bez szkody w postaci cofniętego urlopu lub więzienia conajmniej koszarowego dla aktorów tego opowiadania, zresztą proszę ich pociągnąć do odpowiedzialności. Mogę tyle powiedzieć co do osób, że sam magazynier mieszka w Krakowie, ma sklep i podobno bardzo ładną żonę. Jego można ukarać za to, że podsunął oficerowi prowiantowemu myśl obdarowania wartownika (w imię wiernej służby na posterunku przed magazynem) marmoladą, chlebem, konserwami i serem. Można ukarać go za złe zrozumienie sytuacji i za brak ścisłej kontroli nad ilością tych cudownych tworów ziemi „moich ludów”.

Otóż wchodzę w położenie A. O. K., które patrzy w twarze siedzących przy ognisku i widzę ułana Do..., który miał w szwadronie tę właściwość, że jeździł zawsze na siwku i że, gdy do niego strzelano na patroli, to zawsze regularnie spadał z konia. Czy był to manewr strategiczny wyższego gatunku, czy przyczyna leżała w koniu, który umiał robić błyskawicznego młynka po salwie, to nie wiem — wiem tyle, że ułan był bardzo dzielny, a jednak zawsze wracał najpierw siwek, a potem ułan. Dowodem jego dzielności jest to, że często wysyłano go na szpicę i miał sposobność częstego trenowania skoku z siodła, a siwek błyskawicznego pirueta. Koń wracał podniecony z zadartym ogonem, a ułan bojowo z karabinkiem w rękę i patrząc na siwka (którego bardzo kochał) zpodefba, złowrogo mówił wolno: „Szlag by cię trafił ty chamie”. Oto jeden egzemplarz z wieńca przy ognisku. Drugi miał tę właściwość, że nauczył swego konia (także siwka) jeść żaby — żywe żaby. Koń był trochę ślepy, więc widział tylko kolor zielony (z żabą podawał mu Olek jako sałatę trochę trawy), a że był trochę stary nie żuł i w tym wypadku byłby poznał co trawa a co żaba, — lecz przejechał raz żabę po resztkach zębów i łyknął. Zemściło się to na Olku, bo koń zasmakował wkońcu w mięsie i gdy raz ułan postawił swój obiad

w żłobie, a odwróciwszy się do zadu siwka, czynił coś zaciętym patykiem koło kopyta, — zastał po odwróceniu się obiad pożarty, a dla dowodu, że smaczny był kasek, siwek odwrócił pyskiem pustą menażkę. Pocziwy bardzo był ułan Olek M., o którym mowa. Brak mu było zupełnie zmysłu dyplomatycznego. Człowiek, który ma dyplomację, zachowuje się zupełnie obojętnie, gdy mu ktoś da przezwisko lub wrzask za nim nagle jakiś epitet hucznie nagrodzony śmiechem. Dyplomatycznie zachowywał się pewien dowódca plutonu, za którym ryczano z rozkoszą wielką: „Buhaj-bej”, a on ani drgnął, tylko obojętnie, jakby to nie on miał być owym Buhaj-bejem, galopował wzdłuż szwadronu, parsającego śmiechem. Robił świetnie Greka. W końcu znudziło się to wiarze i kto inny wiał się duchowo pod obuchem sympatji lub antypatji ułańskiej. Olek nie umiał robić Greka. Gdy przed defiladą zwróciłem mu uwagę w tej mniej więcej miodowej formie: „Schowaj pysk, bo generał się nastraszy i parada się nie uda”, — reagował potokiem obelg, których nie powtórzę za nic.

Zemścił się Olek na mnie. Pewnego razu maszerowaliśmy w wielkim kurzu i głodzie, a on jechał przede mną. Nagle odwraca się ku mnie, gęba mu się rozszerza z radości i powiada tak, pokazując mi ogromną kromę chleba: „Kazik, ja będę jadł a ty ruszaj gębą”.

* * *

Ułan Do..., który jako prawy kawalerzysta miał zawsze za cholewą nahajkę i łyżkę, porwał karabinek, zapiął pas i szedł już ku budynkowi, gdzie leżały prowianty pułku, na zmianę warty, gdy wstrzymała go myśl, która już długo w nim dojrzewała. Puknął się palcem w czoło i nagle przy dymie dogasającego ogniska powstał projekt, aby za godzinę wejść w czyn i wydać obfite owoce.

W taborze jest jedna lanca. W magazynie okno ma kratę mocną, ale szyba wybita. Nic prostszego jak pod skrzydłami tego, który czuwa nad magazynem, tak długo dźgać lancą przez okienko w góry chleba, konserw, marmolady i serów, aż wystarczy na pewien czas dla wszystkich spiskowych.

W głębinach nocy podeszliśmy pod okno magazynu. Czuwał tam dzielny wartownik stojący za węglem i badający pilnie, czy też nie idzie oficer inspekcyjny lub prowiantowy, służba dzienna lub sam magazynier. Znać zapewne naród magazynierski. Nasz posiadał tak kwitnące policzki, iż zdawało się, że za pociśnięciem ich wytryśnie fontanna czerwonego wina dalmatyńskiego. Temperatura sympatji do magazyniera fałuje dziwnie w piersiach żołnierskich. Kucharz to jest prawdziwy taborzysta, za którym można krzyknąć: „Parzypysk!” w tej nadziei, że pod okiem podoficera inspekcyjnego będzie musiał wydać to co się należy i nie będzie się mścił, a magazynier musi wydać co się patrzy, a zawsze dodać może gdziekolwiek w marszu byle mu trafić na humor. Humor naszego poznawało się zdaleka po dwóch fałdach uśmiechu, który widzi się u zwykłych śmiertelników, gdy mrużą oczy do słońca lub krzywią się po kwaśnem

winie lub mocnej wódce. U naszego wyrobiły się te dwie brózdki zapewne przez picie — bo gdy się weźmie pod uwagę choćby tych kilka kropel na każdej manierkę, które przez jego służbę przelały się zpowrotem do beczki, a potem do jego paszczy, to myślę, że możnaby przez długi czas poić cały szwadron rogatych djabłów a nie dopiero jednego magazyniera.

Szybko urosła pod oknem zdobycz wyciągana silnym wyrzutem lancy cofanej potem za okno.



Ostrze jej szukało pilnie w ciemnościach, gdzie chleb leży złożony, gdzie dźwięczy metal konserw. Byłoby wszystko dobrze, a raczej gorzej jak się później okaże, gdyby nie to, że pod chlebem złożonym piramidalnie pod ścianą spał i w śnie marzył magazynier.

Na nowe boje leciał pułk nasz, więc w marzeniach sennych widział siebie pewnie magazynier z krzywą szablą w ręku na czele galopujących plutonów. Konie uderzają o konie — szabla krzyżuje się ze spisą kozacką — on tnie po papachach a wtem pada na niego z łoskotem jakaś góra. Stara się zerwać w ciemnościach... — oprzytomnieć trudno odrazu zwłaszcza, że jak taranem biją w niego nawpół śpiącego jeszcze jakieś ogromne jakby pięści.

To chleb uderzony naosłep lancą z za okna obsunął się i sunął po pochyłości ułożonych bochenków jak lawina i walił w ręce i w plecy biednego żywiciela pułku, który na potok ciosów je nadstawił i wydał z gardła krzyk wojenny pełen grozy. Okrzyk ten dotarł poza kraty do nas i wywołał pewne zakłopotanie. Lanca wyjechała z okna, zdobycz porwana szybko pod nakazem gwałtownego szeptu wartownika: „Zwiewajcie teraz co tchu” i gdyśmy ruszyli z miejsca operacji truchcikiem, rypnął za nami wartownik okrągłych pięć ostrych naboju w powietrze.

Gdyśmy dopadali do obozu ruch już powstawał. W ciemnościach słychać było tupot biegnącej zaalarmowanej warty, a z niejednej chaty otwartej nagle padał na czarną drogę potok światła.

Podzielona zdobycz znikła w juczkach, a nas ukoilił spokój pełen zadowolenia ze spełnionego czynu,



spokój czystego sumienia, a jednak pełen niepokoju, co wykaże badanie zwłaszcza wartującego.

Rano w czasie dociągania rzemieni do koców na siodłach wpadł do plutonu kapral dzienny i wrzasnął od progu: „Ułan Do... do oficera prowiantowego”. Do... rzucił ku nam spojrzenie pełne słodczy jakby mówił: „Bądźcie o mnie spokojni” i poszedł wolno ku drzwiom a mózg jego pracował nad krętą drogą wyjścia z poważnej sytuacji.

Niedługo trwała drażniąca niepewność. Drzwi stajni otwały się nagle kopnięciem buta i wszedł zpowrotem na długich nogach niosąc, jakby dziecinę przytuloną do jego ramion wielką paczkę marmolady, a na niej spoczywały konserwy siekane — chleby i figlarnie łyskał czerwoną łysiną zatrważających rozmiarów ser przytrzymany podbródkiem.

Co się stało? spojrzeliśmy po sobie. „Dostałem to za dzielną obronę magazynu osły!” — krzyczał ku nam od progu — „wyobraźcie sobie, że jacyś niecni ludzie chcieli obrabować nasz rodzony pułkowy magazyn, nawet pokłuli już lancą chleb — gdy ja zaalarmowany łoskotem wystrzeliłem w ich stronę pięć łan-

dunków, walcząc z nimi w ciemnościach jak lew”. „To pewnie Niemcy, bo mieli lancę”, odparliśmy przejęci grozą napadu na magazyn.

* * *

Wkrótce na drodze pełnej jeszcze rosy porannej kłusował pułk ku huczącej artyleryjskim ogniem pozycji. W czasie stępa leciała nad pułkiem pieśń, opiewająca jak to na wojence ładnie. Ładnie było wokół, zielono, słońce grzało zarumienione ruchem policzki, a przy juczkach kolegi Do... kołysała się łagodnie w takt kroku siwka spięta rzemieniem paka marmolady.

Okolo południa weszliśmy w teren świszczący kulami karabinów. Przy drodze naszego marszu ciągnął się rzadki, wysokopienny las. Pod grupą sosen stał czwartak piechur i patrzył ku nam, gdy kula ucięła tuż nad nim gałąź. Pochylił się odruchowo od jej trzasku, a potem znów spojrzał ku nam, a gęba mu się rozwarła w uśmiechu od ucha do ucha.

Pięknie było na świecie — zielono — słońce do-
brotliwie grzało w karki, a przy siodle kolegi Do...
w takt kroku siwka kołysała się łagodnie z drugiej
strony siodła wpuszczona w torbę futrażową ogromna
czerwona głowa sera.

Kazimierz Dzieliński.



Sensacją higieny



SA GILZY



Sensacją higieny

MOKKA-PEŁNOWATKI i bibułki ALTESSE

Walki I. Brygady nad Pilicą.

Bitwa pod Ksanami, Winiarami, Czarkowem, zapisana złotymi literami w dziejach Strzelców J. Piłsudskiego, dała początek drugiej ofensywie Austriaków we wrześniu 1914 r.

Po tym boju, który był pierwszym poważniejszym spotkaniem Strzelców z Moskalami, przeszliśmy do rezerwy i kontynuowaliśmy marsz na Dęblin. Na kilka kilometrów pod Radomiem otrzymał nasz IV. bataljon rozkaz odmaszerowania przez Radom do Warszawy. Zadaniem bataljonu, którego dowódcą był ba-

Nazajutrz ruszyliśmy w drogę. Śmiech i piosenki towarzyszyły temu marszowi!

Prusacy patrzyli na nas z podejrzliwością, złośliwie... A to ci „herosy”! My robimy odwrot a oni jak na wesele!

Aliści niedaleko od miejsca, gdzie rzeka Pilica przecina szosę radomską, spostrzegliśmy, że tabory i inny balast wojenny przeminał i że powstała luka, za którą spodziewać się należało już tylko formacyj wojsk linjowych.



Sztab 1 p. p. Leg. na froncie wołyńskim z pułk. Rydzem-Smigłym i Walerym Sławkiem na czele.

Fot. ob. Szczurek z Rzeszowa

taljonowy Wyrwa-Furgalski, było posuwać się szosą radomską, a w razie zajęcia Warszawy przez Niemców, usadowić się w niej z wolą lub też bez woli Prusaków.

Żołnierze pojęli w lot intencje Komendanta!

W Warszawie zajętej nie powinno nas braknąć!

Reszta bataljonów ruszyła pod Dęblin, bataljon zaś IV-ty stanął kwaterą na jedną noc w Radomiu. Radomianie przyjęli nas prawie że obojętnie. Byliśmy dla nich jeszcze jednym więcej utrapieniem w powodzi utrapień, które wówczas zmuszeni byli znosić w związku z ciągle zmieniającymi się panami sytuacji. Ogłuszeni wypadkami nie mogli i nie umieli zdobyć się na nic więcej, jak tylko na bierność i apatię. Nie rozumieli nas ani celu naszego istnienia.

Większość nie różniła się zresztą w poglądach na naszą sprawę od całego polskiego społeczeństwa. Uważała nas za szaleńców i bezwstydnie litosnym okiem wyrażała pogrzeb naszemu czynowi. W argumentacji, że tak ją nazwę lokalnej, wskazywała na niepokojące objawy, zaczynającego się już odwrotu. To jednakże nie ostudziło naszego zapału.

Ochłonęliśmy, jakby nam kto łepetyny zlał kubłem zimnej wody! Tak ci to tak?! To niemiaszki wyrwają!

No trudno! Stało się! Nie udało się tym razem wejść do Warszawy. Co tu teraz robić?

Polak ma tradycję, że o ile jest czymś sojusznikiem, to mu nie wypada uciekać pierwszemu, gdy zajdzie potrzeba takiej ucieczki. Wierny tedy tej tradycji, z kurtuazją zwraca się do sojusznika i ofiarowuje mu gotowość osłonięcia jego tyłów.

Tak też i teraz się stało! Wyznaczono nam odcinek nad Pilicą, pod wsią Budy Michałowskie.

Zadaniem naszym było przeszkadzać siłom rosyjskim w przeprawie przez Pilicę i o ile możliwości jak najdłużej wstrzymywać napór Moskali.

Budy Michałowskie zajęliśmy późnym wieczorem i zastaliśmy w nich malutki oddział konnicy austriackiej z karabinem maszynowym. Po całonocnej pukaniu w krzakach nadbrzeżnych cofnęliśmy się ze wsi na skraj lasu, który rozgraniczał strefę naszych późniejszych działań na dwa gniazda oporu, z których pierwszym gniazdem były Budy Michałowskie a dru-

giem wieś Niedabyl. Las zaś, o którym wspomniałem, był tym punktem taktycznie ważnym, bo stał w pośrodku między jedną a drugą wsią. Głębokość lasu wynosiła niecałe dwa kilometry. W momencie, kiedy w odwrocie z pod Bud, osiągnęliśmy lizjerę lasu, ukazał się na koniu oficer austriacki i przebiegając koło nas krzyknął: „die Kozaken sind da“ (Kozacy tuż..). Bractwo ozięble przyjęło tę wiadomość. Kozacy?! My ich dobrze znamy!

Jur! (pseudonim) weź ludzi i postrasż ich dwoma salwami — rozkazał bataljonowy Wyrwa.

Niewielu! bo 18-tu ludzi zajęło sprawnie wyznaczone miejsce. Trrrach! Trrrach! Już po kozakach! Zwiali!

Lecz na tamtym brzegu Pilicy Moskale mieli już artylerię w awangardzie; „dałoj“ z niej do nas walić! Oberwało się jakiemuś biedakowi w same usta...



ś. p. Major Wyrwa-Furgalski d-ca IV bataljonu Strzelców I. Brygady wraz z bratem Pandorem-Furgalskim przed ziemianką II. bataljonu 5 p. p. Leg. na Polskiej Górze.

Fot. ob. Szczurek z Rzeszowa.

Mieliśmy odwrót stosunkowo spokojny. Oparliśmy się o wieś Niedabyl. Czekamy! Jakoś mochy nie wyłażą z lasu, który powinni byli przejść już i obsadzić. Takie prawo na wojnie, jak ty nie chcesz do mnie, to ja muszę do ciebie...

Wysłano patrole. Nie było nikogo! Wobec tego ruszyliśmy tyraljerą przez las. Noc zapadła, dzień nastał, a my ledwie stanęliśmy znowu w temsamem miejscu, co poprzedniego dnia. Poprawiliśmy linję potarganą nocnym marszem i ruszyliśmy przez błonia, oddzielające las od wsi wprost na Budy. Na lewym skrzydle mieliśmy oddziały Poznańczyków. My t. zn. 2 kompanja krakowska pod dowództwem Kazimierza Jarnuszkiewicza, uderzyliśmy wprost na wieś. Spokojnie przeszliśmy błonia, oddzielające wieś od lasu. Dopiero na linii pierwszych opłotków wsi przyjęli nas Moskale ogniem. Kompanja nasza oparła się swem prawem skrzydłem o staw przytykający do Bud. Na brzegu tego stawu przypadł do ziemi I. pluton pod

dowództwem Wielkopolanina (pseudonim), przy nim umieścił się również dowódca kompanji ze względu na dobry punkt obserwacyjny.

Zaczyna się obustronny ogień karabinowy, po małej chwili Moskale posyłają nam granaty i szrapnele.

Granaty uderzają w staw i powodują rozbryzgiwanie wody, która chłodzi nam twarze. Do wybuchów pocisków artyleryjskich łatwo można ucho i serce przyzwyczaić! Niewinna to broń! Więcej robi hałasu i niepotrzebnie straszy! Gorsze te szerszenie karabinowe! Trudno się temu opędzić! Świśnie ci koło ucha, nie zadowoli się tem, gruchnie przed tobą i zasypie ci oczy! No ale po pewnym czasie oswaja się z tem człowiek. Zaczyna się rozglądać! Nagle krzyk! To któryś z naszych oberwał odłamkiem szrapnela w niepolityczne miejsce, oderwało mu kawałek pośladka... za chwilę patrzę, z lewej strony drugi strzelec dostał w szyję kulą karabinową. Ani nie jęknął! Odrazu trup! To był Władek z Krakowa, ze Zwierzyńca. Trzeci Scyzoryk-Hagemejer, mój serdeczny druch, dostał kulę w przegub prawej i w wierzch lewej ręki. Naraz dwie rany! Krew się leje! Krew upływa!... Trzeba zawiązać, bo siły straci. Sznurkiem ścisnął przegub prawej ręki i dobre. Lewa ręka mniej dotkliwie zraniona, da się wytrzymać!

Na lewym skrzydle ogień przycichł. Trzeba zobaczyć co się dzieje? Wysłano Stacha Grolickiego. Po niejakej chwili Stach wraca i Boże się pozał ma taką minę jak dziecko, któremu obiecywano ładną zabawkę, leżącą pod łóżkiem, a ono tam jej nie znalazło! Cóż ci to Stasieczku? Bo... bo... Moskali we wsi niema, i mało co się biedaczysko nie rozplakał! Chciał pewnie wziąć do ręki Moskała i przyjrzeć się mu jak jakiemu gadowi?! Kiedyż te bestje tak prędko mogły się przeprawić na drugą stronę rzeki. To chyba niemożliwe. Nasze niepokoje były uzasadnione, bo z prawej strony zobaczyliśmy otaczających nas mochów. Hm! Niewyraźnie! Front zmieniliśmy na miejscu i nużę walić w psich synów! W trakcie tej charataniny zorjentowaliśmy się, że jesteśmy sami. Reszta kompanji cofnęła się już dawno do lasu wraz z Poznańczykami, którzy ponieśli poważne straty i pozostawili poległych na placu boju dwóch młodych oficerów Polaków. Kiedy doszło do naszej świadomości, że jesteśmy prawie otoczeni, opadł nas paskudny strach! Otrząsnęliśmy się jednak z niego w nadziei, że zbliżający się zmierzch ułatwi nam wymknięcie się z matni. Tymczasem ze zdwojoną energją odgryzamy się mochom! Rany boskie! Szanować ładunków! Niewiele ich mamy.

Wybawił nas z kłopotu zmierzch. Zabraliśmy na ramiona zabitego towarzysza i chyłkiem skierowaliśmy się do lasu.

Och! Jaki ciężki ten Władek! Czterech nas niesie na zmianę a zmachani jesteśmy, jakbyśmy nieśli olbrzyma! Ranni, nawet ten z oderwanym pośladkiem, muszą maszerować. Niema komu im pomóc. Wloką się biedacy, zlani własną krwią, utrudzeni i rozstrojeni kilkugodzinną bezczynnością. Cóż to musi być za

męka dla rannego, kiedy nie może strzelać ani się wycofać. Ciągłe dusi go zmora, że może wleźć w pazury wroga!

Posuwając się żółtym krokiem, dotarliśmy do lasu. Po krótkim odpoczynku ostrożnie posuwamy się naprzód. Niewiadomo jakie licho siedzi w lesie!

Po kilkugodzinnym marszu, weszliśmy już w linję naszych placówek. Dowlekliśmy się jakoś do wsi Niedabył. Zmęczeni, głodni zwaliliśmy się jak kłody w jakiejś chałupie.

Na drugi dzień zajęliśmy się pogrzebem poległego towarzysza. Cmentarz był odległy o kilka kilometrów w miejscowości o ile pomnę zwanej Stromcem. Wykopaliśmy mogiłę. Zasypaliśmy ją grudą. Krótkie: „Baczność“! Prezentuj broń! i koniec!... Pierwszy poległy w naszej kompanji! Później już takich pogrzebów nie było. Gdzie, który z chłopców padł, tam była jego mogiła!

Po pogrzebie, strudzeni kilkudniowymi przejściami, udręczeni przeżyciami poprzedniego dnia, wracaliśmy do kwater w Niedabyłu. Marsz ten przypominał korowód zgrzybiałych wiekiem pochylonych starców. Jeszcze nadobitek spotkaliśmy Prusaków, którzy z radością dzielili się z nami wieścią, że „Paris ist schon gefallen“ (Paryż wzięty). To do reszty podcięło nam już i tak utrudzone nogi. Bodaj wam język odjęło! wy „pludry!“ Tu sobie zwyciężajcie, ale tam wam wara!

Na szczęście radość ich i wieść okazała się przedwczesna.

Nie dla psa kielbasa!

Ofenzywę rosyjską i napór na będące w odwrocie siły niemieckie i pruskie można było śmiało nazwać nieśmiałą. Ofenzywa na nas była tak ostrożną, że ma-lutki liczebnie bataljonik trzymał na uwięzi przeprawiającą się przez Pilicę całą dywizję rosyjską. W trzecim czy czwartym dniu naszych zmagani, otrzymaliśmy posiłki w postaci niewielkiego oddziału kawalerji austriackiej i jednej baterji artylerji polnej. „Narobili hałasu, polecieci do lasu“. W całej pełni można było do nich zastosować słowa znanej u nas piosenki. My widząc, co się święci, zebraliśmy manatki i noga za nogą podążaliśmy w kierunku szosy radomskiej. Moskale deptali nam po piętach. Zmuszeni byliśmy ubezpieczać nasze tyły i boki.

Przy tem wszystkiem dokuczał nam głód i brak tytoniu! Kuchnia nasza i tabor zaraz w pierwszych dniach naszych utarczek zwały gdzieś głęboko na tyły. Nie myślcie, że ze strachu! Bezpieczeństwo kasz, grochów, mięsa i wszelakiego zbytku wymagało tego! Jeżeli nie było bohaterstwem, to w każdym razie można je nazwać skromnie przezornością!...

Przezorność ta odbiła się fatalnie na naszych żołdackach! Wiara klęła na czem świat stoi!

W poszukiwaniu za „jadłem“ zobaczyłem jeszcze w Niedabyłu gosposię, która chyłkiem niosła strawę do apartamentu, który w języku zwyczajnym nazywa się chlewem. Poszedłem ja za nią! Mówię wam delicje! Ziemniaki w kapturkach! Po wstawieniu szaflika niebożątkom, wyszła gospoia przywarłszy drzwi. Skorzastałem z tego i bez pukania złożyłem wizytę nierogaciznie. Świnie żdziwione taką wizytą, wydały ze siebie głos, który przetłumaczony na język ludzki brzmiałby mniej więcej tak: „Ki djabli go tu przynieśli“.



Obiad pod Jastkowem.

Kpt. Olszyna-Wileczyński, por. dr. M. Kaplicki, por. Pogoń, ppor. Tata-Rapid, ppor. Janicki, ppor. Olek-Myszkowski, ppor. Harzewski i inni.

Fot. ob. Szczurek.

Bezczelnie, nie zwracając uwagi na to przywitanie, zabrałem się do dzieła. Nałożyłem pełną połę płaszcz jeszcze dobrze ciepłych „gruli“. Zirytowany przyjęciem, opuściłem ten zacny lokal bez pożegnania. Ścigały mnie słowa złodziej... złodziej... Miałem skrupuły... ale przypomniałem sobie parę lat wstecz czytana powieść „Nędznicy“ W. Hugo i uspokoiłem się. Tam bohater, też ukradł a potem był porządnym człowiekiem!... Z paleniem nie było tak źle! Już wtedy zaczęliśmy zawijać w papier buczynę! Bodaj czy, nie my pierwsi zrobiliśmy ten wynalazek, który jako nieopatentowany dziwnym trafem umieli wyzyskać nasi sojusznicy! Buczyzna znalazła prawo obywatelstwa i powszechnie już panowała do końca wojny.

Takto naonczas wiodło się gromadzie strzelckiej.

Piotr.

Obuwie **Del-Ka** trwałe — wygodne — tanie.

Jak zdobyłam autograf Józefa Piłsudskiego.

Z datą 16 listopada 1916 r. wiąże się niezatarte dla mnie wspomnienie. W pamiętniku moim tego dnia zapisałam krótko: „Byłyśmy u Bryg. Piłsudskiego po autografy”.

Może to było zbyt bezceremonjalne — powie może nawet ktoś, że bezczelne! Stało się! Pisząc wtenczas te słowa, nie myślałam, że przyjdzie mi się przyznać do tej zbrodni... Pisałam to jedynie dla siebie i dzisiaj czytając tę notatkę, przypominam sobie w najdrobniejszych szczegółach okoliczności, którym zawdzięczam, że jestem posiadaczką tak cennego autografu. Nie wątpię wcale, że nie jestem wyjątkiem, ale kto wie, czy jest dużo takich, którzy uzyskali go w tak miły i niezapomniany sposób.

Nie muszę chyba zaznaczać, że byłyśmy entuzjastkami idei legionowej, a klasa nasza odznaczała się niezwykle solidarnością, co należy podkreślić ze względu na nasz wiek w tym czasie. Byłyśmy w trzeciej klasie gimnazjalnej.

Pamiętam, że kilka miesięcy później, kiedy unieruchomiono Brygadiera Piłsudskiego w Magdeburgu, postanowiłyśmy Niemców srodze ukarać. Zemsta była wyrafinowana. Każda z nas, a kto wie, czy nie cała szkoła, wysłała na dzień 19-go marca, kartkę z życzeniami imienninowemu do „Brygadiera Piłsudskiego, Magdeburg”. Nie byłyśmy na tyle dziecinne, żeby mieć nadzieję, że poczta doręczy te kartki, ale cieszyło nas to, że Niemcy będą się złościć! Byłyśmy w tym okresie życia ogromnie solidarne — a przedsiębiorczość nasza była, jak na nasz wiek, dość rozległa. Nic więc dziwnego, że uczucia nasze, a przede wszystkim przekonania musiały znaleźć swój wyraz.

Nie wystarczało nam bynajmniej, że dostaniemy autografy! Celem ostatecznym było zapewnić Piłsudskiego, że się z Nim solidaryzujemy, zawsze i pod każdym względem!

Było to pierwszy i kto wie czy nie ostatni raz, że zabrałam głos w polityce.

Mając cel jasno i dokładnie określony, zaczęłyśmy szukać drogi. Okazuje się, że dziecinne drogi są najprostsze i co ważniejsze prowadzą do celu. Powziąć decyzję było dla nas kwestią kilku godzin, zato szczegółowe opracowanie planu, trwało kilka tygodni. Najgorsze było to, że w miarę zbliżania się do tego doniosłego dnia, rosły nasze marzenia. A więc już nie tylko autografy, nietylko zaznaczenie naszych przekonań politycznych, ale skrycie myślałyśmy o jednym: zapewnić sobie choć pół godziny! takie najmniejsze wspomnienie...

Plan naszej wyprawy był prosty. Delegacja złożona z jednej nauczycielki i kilku uczennic, miała pójść na ulicę Szlak, złożyć adres hołdowniczy i prosić o podpisanie fotografii. Tysiące pytań i wątpliwości gnębiło nas do ostatniej chwili. Po wielu trudach i przepisywaniach, adres wykaligrafowany i podpisany czekał na swoje przeznaczenie. Z tą chwilą jednak wyłoniły się inne wątpliwości. Sam adres to mało! Kwiaty? Zwiedną i cała nasza demonstracja pójdzie w zapomnienie. A więc ponieważ nas doszła wieść, że Brygadjer lubi słodkie, więc uzbrojone w adres, kwiaty i cukierki, poszłyśmy na zdobycie autografów.

Zdawało nam się, że plan strategiczny opracowałyśmy w szczegółach. Nawet to, czy mowa jednej z delegatek ma się zacząć od słów „Brygadjerze” czy „Komendancie”, było tematem dłuższej dyskusji. Tak przygotowane, odważne i zdecydowane na wszystko, z pełnym poczuciem ważności naszej misji, udałyśmy się na ulicę Szlak Nr. 31. Wchodzimy — serca biją jak młoty.

Drzwi mieszkania zastajemy zamknięte. Pukamy nieśmiało. Szmery, szepty, zawiadamiają nas bez cienia współczucia, że Brygadjer wypoczywa — że przeszkadza Mu nie wolno. Plan strategiczny tej ewentualności nie przewidywał. Rozpacz i rozczarowanie dodają nam odwagi, tak, że rozpoczynamy pertraktacje z pułk. Wieniawą-Długoszewskim, który jednak słysząc nie chce o kompromisie. W chwili kiedy byłyśmy bliskie kapitulacji, odezwał się zbawczy głos przebudzonego Brygadjera. Zwycięstwo na całej linii! Wraz z drzwiami odsuwa się zagradzająca nam drogę postać pułk. Wieniawy. W pokojach panuje mrok. Na tle okna zarysowuje się sylweta adjutanta — nieodłącznego towarzysza. W progu swego gabinetu stoi sam Brygadjer Piłsudski! W swej szarej kurtce, w pantoflach z papierosem w zębach, uśmiechał się do nas pobłażliwie. — Myślę, że tym razem nie był bardzo zły, że Mu przerwano wypoczynek. Wydaje mi się dzisiaj, że cała nasza napaść musiała się wydać ogromnie zabawna. Dla nas było to cudownym zakończeniem, tembardziej, że w pewnej chwili uważałyśmy całą sprawę za straconą!



Związek Legionistów Polskich w Rumunii z siedzibą w Czerniowcach.

Jak przez mgłę słyszę jeszcze dziś mowę jednej z koleżanek — czy była dość zrozumiała — nie wiem. Potem robi się uroczysta cisza. Słyszać tylko od czasu do czasu zgrzyt pióra. To Brygadjer podpisuje nieustrudzenie fotografie i kartki. Odetchnęliśmy z ulgą. Misja nasza spełniona. Teraz Piłsudski wie już na pewno, że może na nas zawsze liczyć. Świadomość ta dopomaga nam do możliwie przytomnego zachowania się. Brygadjer podaje nam pokolei rękę. Tak spełniły się nasze najśmielsze marzenia. Dzisiaj, kiedy po tylu

latach, wspominam ten dzień i patrzę na białą kartkę papieru z drobnym, tak dobrze znanym podpisem w rogu, myślę, że notatka z tego dnia trafnie scharakteryzowała moje jedyne w życiu spotkanie z Marszałkiem Piłsudskim.

Było krótkie i bezceremonjalne, jedno z tych, których się już nie zapomina.

Kraków, w kwietniu 1929 r.

Hanna Krzetuska.

Z pamiętnika legionisty.

Rafajłowa, 20 grudnia 1914.

Rano zostałem wezwany do kancelarii kompanijnej.

Dobrze jest, przecież ktoś się mną interesuje, — pomyślałem sobie w duchu. — Pozbierałem się szybko i wybiegłem z chałupy. Po drodze marzyłem i medytowałem nad swym losem...

Poco mnie tam mogą wzywać? — myślałem ciągle.

Może poznali się nareszcie na mnie i powołają mnie na jakieś godniejsze stanowisko niż obecne, bo dotychczas każdy z mego otoczenia czuł się ode mnie wyższym, mądrzejszym i dostojniejszym. Może dostanę odznaczenie lub awans na frajtra. Może też powierzą mi funkcję komendanta kuchni lub wyślą mnie na tyły, ażeby mnie użyć do wyższych celów państwowotwórczych. Moja rozhuśtana wyobraźnia latała wysoko i spoglądała na świat pod kątem wieczności. Brodząc po kolana w białym śniegu, poddawałem się tęczącej fali marzeń, która przechodziła przez moje centra mózgowie z miłym łaskotaniem.

Stanałem przed domem, w którym się mieściła komenda kompanii. Na podwórzu, obok wozów, kucharze zabijali byka na obiad. Kaprał dzienny, z zawodu rzeźnik, kropnął go kilka razy pałąk w łeb, a kucharz rzucił się na niego z dużym nożem. Po chwili szamotania się i bluzgania krwią, byk trzepnął po raz ostatni kopytami dla dobra ludzkości i wyzionął ducha.

Przybliżyłem się do kaprała dziennego, który wycierał płachtą zakrwawione łapy, i zapytałem się go, poco mnie wezwano.

Pockaj tutaj mamałygo, — brzmiała odpowiedź kaprała, poprawiającego ładownice na brzuchu — za chwilę przyjdzie tu jeszcze kilka innych kalek, to będziecie w szopie prac zasr... gacie i brudne koszule.

Kto ja? — krzyknąłem, prężąc się do skoku...

Ha! ha! Dyc nie ja, tylko ty — śmiał się kaprał w majestacie swej władzy.

Ani mi się śni! Nikt mnie nie zmusi do paplania się w zawoszonych łachach!

Stul pysk! Bacznosc! Wtył zwrot! — zakomenderował kaprał.

Odszedłem nabok. Dygotałem ze złości i lzy cisnęły mi się do oczu, a w mózgu rodził się konflikt tragiczny — walka namiętności z obowiązkiem dojrzała. Po chwili łożenia dokoła szopy postanowiłem szukać pocieszenia i zameldować się u komendanta kompanii. Pełen najlepszej wiary wszedłem do pokoju w którym siedziało 2 oficerów „swego chowu”



Odpoczynek w czasie marszu w lesie na Wołyniu.

Fot. ob. Szczurek z Rzeszowa.

przy kieliszkach i flaszki. Odszukałem wzrokiem chorążego P..., ku któremu czułem szczerą sympatię, gdyż pierwsze miesiące wojny spędziliśmy razem w walkach i na patrolach. Teraz zastałem go w pozycji mniej rycerskiej, bo moczył sobie nogi w cebrzyku.

Nie tracąc impetu, stanąłem na bacznosc i meldowałem, że do prania brudnej bielizny nie pójdę i że jest hańbą wyznaczać do takiej parszywej roboty ludzi bojowych, podczas gdy wokół kuchni obija się czereda łazików i symulantów.

Oficerowie przerwali rozmowę i spojrzeli ze zgorzeleniem na mnie, a chorąży P... aż podskoczył na stołku, przytem cebrzyk się wywrócił i woda lunęła na całą podłogę. Konsternacja i popłoch zapanowały w izbie. Ten wypadek wytrącił mnie z równowagi, rozdziawiłem gębę i spoglądałem z wyrzutem raz na wywrócony cebrzyk drugi raz na bielutkie gacie chorążego, wyglądające z pod oficerskiego płaszcza. Gdy już

chwyciłem za klamkę od drzwi, wtedy chorąży P... huknął w moją stronę potężnym głosem:

Czego ten smarkacz chce? Za drzwi! Do raportu karnego!

Onieśmielony powagą sytuacji, wyrzniętem w kopyta i wyszedłem na podwórze.

Zapisałem się zaraz do raportu karnego u kaprała dziennego, który mnie zmierzył teraz wzrokiem od góry do dołu i poklepał protekcyjnie po ramieniu z oświadczeniem: — morowy drań z ciebie — daj grabę! Wiesz dobrze brachu, że człowiek w służbie jest psem, a poza służbą, jak się zdarzy... to i świnia...

W obliczu niebezpieczeństwa miałem już poważną figurę za sobą. Postanowiłem czekać na raport karny przy kuchni i zacząłem pogawędkę z kucharzami, z którymi trzymałem zawsze śtamę. Otrzymałem zaraz kupę kości do ogryzania, więc zabrałem się do roboty. Kucharzowi, który zakatrupił byka, złożyłem gratulacje i wyrazy podziwu dla jego przytomności umysłu. Ten rozkrochmalony moją dyplomatyczną wymową, dał mi w dowód wdzięczności macherynę świeżo wyciętą, ażebym sobie ją wysuszył i zrobił z niej woreczek na tabak — potem opowiadał mi swoje przygody wojenne jako kucharza w czasie walk ofenzywnych, kiedy to z zimną krwią wieszał szpiegów moskiewskich na gałęziach drzew...

O godzinie 1-ej ustawiono nas w szeregu do raportu. Raport przyszedł odbierać chorąży R... złota i kryształowa dusza. Stałem czupurnie i czekałem z zapartym oddechem na kolejkę. Kiedy stanął przedemną, zameldowałem powód przedstawienia mnie do raportu karnego. Chorąży R... zrobił minę okropnie poważną i zaczął mi prawić o miłości ojczyzny i o świętości obowiązków żołnierskich, jakby to wszystko miało co wspólnego ze wszami — a nakoniec wlepił mi cztery godziny stójki pod karabinem.

Po obiedzie postawiono mnie pod karabinem przy płocie koło drogi. Stałem jak drąg przepełniony cierpką dumą i rozkoszując się tragiczną niesprawiedliwością.

Tymczasem wokół kuchni wiara robiła wrzawę i krzyczała o dolewę, przyspiewując sobie od czasu do czasu:

Jak dolewy nie dostanę,

To kucharzem rżnę o ścianę...

albo:

Kto leguna nie szanuje, raz, dwa, trzy...

Niech go w d... pocałuje itd. itd.

To wszystko nie robiło na mnie wrażenia. Stałem jak Prometeusz w oczekiwaniu kruków, którym w razie zjawienia się dałbym zamiast wątroby macherynę świeżo wyciętą. Jednak mój prometeizm nie budził zainteresowania. Tylko chorąży R... spoglądał przez okno w moją stronę i dumał sentymentalnie. Po chwili zbliżył się do mnie i kazał mi zejść z posterunku w tak ojcowskim tonie, że się o mało nie rozplakałem. Poszliśmy razem ku gromadzie, która gwarzyła i śpiewała przy kotłach, czekając na fasunek rumu. Po zapaleniu papierosów z papierosnicy chorążego zapanała harmonja w całej gromadzie i ze wszystkich pier-

si huknęła jak salwa karabinowa potężna pieśń: — „Hej strzelcy w las“. Pieśń ta wżera się w duszę, zapala ducha i nieci szał walki. W jej głośnych tonach dawni strzelcy, drużynaci, sokoli i skauci stawali się wszyscy strzelcami. Po chwili siedzący wśród nas oficer strzelec — drużyniak intonował pieśń inną — „Naprzód drużyno strzelecka!“, która szła w lasy pełne majestatycznej ciszy. Serca nasze promieniowały radością, a w oczach jaśniały iskry potężnego zapалу.

Nagle pieśni umilkły. Nieżonaty ojciec Barnab wytoczył do sieni baryłkę rumu, założył do niej węza gumowego i zaczął cykać do manierek z miną dobrodzieja ludzkości. Radość niezmierna panowała w czasie tej uroczystości, a każdy chciał fasować dla siebie i dla swego kolegi. Jednak ojciec Barnab, będąc z zawodu prawnikiem, nie dał się nabijać w butelkę.

Napełniwszy manierkę rumem, kierowałem się już w stronę kwatery, ażeby wypocząć po całodziennych przejściach. Jednak po wyjściu z podwórza spotkałem stojących na drodze Kokoszkę, Dyndalskiego i kaprała, z którym zabawiałem się przed południem.

Chodź z nami do żyda kupować czekoladę, bo przyszedł mu świeży transport z Węgier. — przemówił do mnie kaprał. My będziemy robić na lewo, a ty będziesz kupował i zabawiał żyda.

Nie namyslaając się nad moralnością tej propozycji, poszedłem za nimi. Weszliśmy do sklepu, około lady był wielki natłok. Żyd kręcił się jak w kieracie, sprzedając żołnierzom różne świecidełka i smakołyki. Stałem na swoim miejscu i zasłoniłem plecami napoczętą pakę z czekoladą. Kupowałem kanoldy, oglądałem listy i pocztówki. Tymczasem moi towarzysze wywłoczyli z paki tabliczki czekolady, ładując je w kieszenie i chlebaki. Widziałem to i truchlałem ze strachu. Nie wiedziałem co robić — czy ostrzec żyda, czy też uciekać. Po chwili usłyszałem jednak ciche i pogardliwe słowa:

No chodź tchórze!

Zapłaciłem za kanoldy i wyszedłem. Po drodze, dano mi trzy duże tabliczki czekolady i kazano milczeć. Milczałem, lecz się strasznie niewyraźnie czułem, a nogi szwędały mi się nierówno po śniegu. Stałem się współnikiem złodziei i widziałem, że przejście do takiego stanu nie wymaga wielkiego wysiłku, gdy się ma sposobność należeć do dobrego towarzystwa. Na kwaterze zaciągnięto mnie zaraz do grania w karty. Po kilku minutach przegrałem do odrobiny tę krwawo zapracowaną czekoladę. Lżej mi się zrobiło na sercu i poczułem w duszy jakieś rozgrzewające mnie zadowolenie.

Rafałowa, 25 grudnia 1914 r.

Święta się kończą, a o końcu wojny ani słycho dychu. Niema już nawet nadziei, ażeby ten światowy burdel kiedy się skończył.

Na wilję przed południem wyjechaliśmy kolejką na placówkę do leśniczówki w Dołżyńcu, oddalonej o 7 km od Rafałowej. Wokół bieleły się lasy i góry, przywalone grubą warstwą śniegu. Zamieszkaliśmy



Czarna kawa po obiedzie.

Fot. ob. Szczurek z Rzeszowa.

w leśniczówce i stamtąd wystawialiśmy wedety, w głębi lasu. Po południu wysłano nas trzech jako patrol łącznikowy celem nawiązania łączności z Austriakami. Szliśmy w milczeniu pod górę, przejęci powagą chwili i znękani obrazem własnej nędzy, który się zjawiał przed naszymi oczyma, a modlitewny nastrój zespałał nasze dusze z przyrodą i Bogiem. Po przejściu 8 km. znaleźliśmy się w okopach austriackich. Zamel-dowawszy się w komendzie odcinka, wdaliśmy się w pogawędkę z żołnierzami austriackimi, wśród których większość stanowili Polacy. Starzy pospolicacy, gospodarzni chłopcy polscy, mieli jedzenia, picia i kurzenia pod dostatkiem. Przyjęli nas bardzo gościnnie słoniną, sucharami i rumem. Ponadto każdy z nas otrzymał na drogę po kawałku słoniny. Na odchodnym złożyliśmy im życzenia Wesołych Świąt i rozeszliśmy się w serdecznym nastroju.

Wieczorem siedzieliśmy w ciepłym mieszkaniu na leśniczówce. Głód nam dokuczał, gdyż wyjechaliśmy bez chleba i bez obiadu, ponieważ transport z Węgier się opóźnił. Samej znów słoniny nie można było jeść bez chleba lub kartofli.

Leśniczówka nie była pustą. Mieszkał w niej leśniczy z żoną i małą córeczką. Wszyscy troje krzątali się po domu, robiąc porządek na święta. Siedząc na ławie pod oknem, patrzyłem na nich jako na ludzi szczęśliwych i myślałem o latach dzieciństwa. Żona leśniczego, starsza kobiecina, nic nie mówiła, tylko płakała i płakała... O godz. 8-ej gospodarze poprosili nas do swego pokoju. Łamaliśmy się opłatkiem. Gospodyni poczęstowała każdego z nas kawałeczkiem placka ze serem i kieliszkiem wina owocowego. Ten poczęstunek podrażnił zgłodniałe żołądki i zachciało nam się naprawdę jeść. Owiani atmosferą ciepła rodzinnego gwarzyliśmy do późnej nocy. Między godziną 11 a 1 w nocy stałem na wedecie. Cieszyłem się bardzo, że przypadł mi zaszczyt witania wielkiego święta ludzkości pod gołym niebem z karabinem w dło-

ni. Nie myślałem wtedy o Moskalach, lecz stałem swe myśli ku gwiazdom. Jak mogłem, modliłem się do Boga o szczęśliwy powrót z wojny do domu, o życie bujne i o wielką Polskę. Miałem pewność w skuteczność mej modlitwy, bo szła z żarem ognistym z gorącego serca. Nie bałem się przyjscia Moskali, bo byłem pewien, że uszanują nasze święto. Nie było dzisiaj dla mnie wrogów na ziemi. Chciałem współczuć ze wszystkimi ludźmi i wszystkich chciałem kochać. Noc była jasna i mroźna, śnieg zgrzypiał pod butami. Tajemniczy mrok spowijał lasy i górską polanę. Księżyc przeciskał się smugami bladawego światła pomiędzy konarami świerków. Drzewa trzaskały od mrozu. Uroczysta cisza panowała wokoło.

Chwilami wydawało mi się, że jadę na urlop i za-jedżdżam w swoje rodzinne strony, idę szerokim gościńcem z głową zadartą do góry, potem skręcam na lewo wąską ścieżyną i stoję nad strumykiem, gdzie za lat dziecinnych budowałem koła młyńskie i łowiłem ryby; potem wchodzę do sadu i wspinam się na pagórek; stoję przed domem, pukam do drzwi i wnoszę radosny okrzyk: jadę z wojny i żyję. Lecz złuda znika. Po chwili znowu odbywam to samo itinererjum, rozkoszując się widokiem każdego drzewa i każdego kamienia. To studjowanie rodzinnych stron sprawiało mi jakąś mistyczną rozkosz.

Rano w dzień Bożego Narodzenia zjadłem płatek słoniny ze śniegiem i czekałem na zmianę, która przyjechała o godz. 2 po południu. Potem jechaliśmy kolejką do Rafajłowej, a było nam pilno na kwatery, gdyż tam czekały na nas podarunki świąteczne. Po dobrym obiedzie z trzech dań, komendant kucni dawał każdemu podarunek z portretem cesarza Franciszka Józefa i manierkę rumu. Na kwaterach zapanaowała wielka radość.

C. d. n.



Brygadjer Józef Piłsudski wydaje rozkazy i wyznacza linię frontu dowódcom 5 i 4 p. p. Leg. pod Jastkowem.

Fot. ob. Szczurek z Rzeszowa.

Legjony.

II.

Bitwa.

Już nie pamiętam tych setek, tysięcy
Bitw wielkich, małych, potyczek, ataków —
Czy ich o setkę było mniej czy więcej...
Któż to dziś zliczy? — I któż w roju ptaków,
Co tam pod niebem krążą w wielkich kołach —
Dojdzie ich cyfry? Kto w wojny orkanie,
W wirach walk ciągłych, zmaganiach, mozołach
Jest każdy szczegół zapamiętać w stanie?
W wojnie — jak w kniei: im dalej, im głębiej —
Temci drzew więcej — moc ich nieprzebrana;
Co krok, to puszcza zgęszcza się i kłębi
W labirynt, w chaos — jak sieć poplątana.
Więc mniejsza o to, w której z rzędu bitwie —
I ja i moi obydwaj synowie —
W zażartej, wścieklej za wrogiem gonitwie
Byliśmy razem — kolumny wodzowie.
Za nami legion żołnierzy — jak kwiaty!
Wszystko to młódzież wprost z paku rozwita!
Kraśne rumieńce, a oczy bławaty,
Życie im wschodzi dopiero i świta...
A ognia pełne, jak w stepie rumaki;
A uporczywe i złe jak komary...
Dzieciuchy niby, malcy, szkolne żaki —
A kiedy z wrogiem wezmą się za bary,
Kiedy obsiedą go cma, jak owady,
Bagnetów żądłem kłuć poczną rześcisie —
To wróg umyka, nie mogąc dać rady
Tym smykom jurnym i klnie ich siarczyście.
A oni z śpiewem — bo to zawsze śpiewne —
Żądłami swemi wciąż kłują i łechcą;
Zwycięstwa swego ponad wszystko pewne,
Ze śmiechem hucznym po piętach mu depcą...
Migają szable i bagnety błyszczą,
Jak żeńców sierpy i dzwoniące kosy —
Dopóki pola z wrogów nie oczyszczą.
I znów pieśń huczy tysięcznymi głosy...
Ze śpiewem biją, umierają z śpiewem...
Śpiew ich zgiełk wojny jak piorun zagłusza;
Nic nie dokazesz wśród nich groźbą, gniewem...
Pieśń ich rozkazem, bo pieśń — to ich dusza!
Tak to i wtedy, w dzień ów mi pamiętny,
O którym snuje się moja opowieść,
Pieśń nie milczała, lecz w chorał namiętny
Piała nam głośno, jakby chciała dowieść,
Że w pieśni zbroja, odpór i potęga,
Co nie zawodzi nigdy, nie okłamie,
Bo wszystkie moce w łonie swoim sprzęga...
Nic się nie oprze jej i wszystko złamie!
Z wiarą więc żywą, z młodzieńczą otuchą
W bój ruszył legion za pieśni hejnałem...
Już pierwszy szereg, jak gałązkę kruchą
Złamał i zmołał za pierwszym wystrzałem.
Już wróg się zachwiał i wygiął pod ciosem;
Zwalił się szereg, jak zrębana kłoda...
Z tym samym drugi wnet spotkał się losem

I trzeci, czwarty... Jak bezduszną trzoda
Uciekać począł w trwodze, tłum kozaczy,
Rzucając wszystko: i broń i tabory;
A uciekając krwią swe ślady znaczy,
Kryje się w haszcze, w bagna, w ciemne bory...
Większość, jak zboże żęte na zagonie,
W milczeniu śmierci zaległa pokotem,
W nagłym i krwawym padłszy tutaj zgonie,
Zmiażdżona wojny nielitośnym młotem...
A chłopcy nasi krążą, jak kosiarze:
Tu, tam — żdźbła jeszcze ścinając stojące;
Pot im zalewa czoła, płoną twarze,
Oddechy szybkie, jak sam żar palące...
Ej! żniwoż hojne — lecz praca nie mała!
W pomoc im idą zaciętość i męstwo.
Z brygady wrogów kruszyna została...
Zwycięstwo, chłopcy! — Zwycięstwo! zwycięstwo!
Już się dzień chyli i płoną już zorze
Wieczne — trza trwać do ostatka.
Jeszcze wrze walka — jeszcze syczą noże
Bagnetów — żmije — i niejedna matka,
Nim noc ta minie i dzień znów zaświta
— Taka to czarna dziś dola matczyna —
Rwać będzie włosy, płakać będzie syna,
Do krzyża cierpień boleścią przybita...
Pobojowisko już puste i głuche...
Czasem jęk tylko ozwie się stłumiony...
Czasem koń zarży... broni chrzęsty suche
Zatrzeszczą... Spocząć już idą legjony...
Spocząć... Szyderstwem i krwawą ironją
Dziś w ustach moich grzmi to krótkie słowo;
Pogrzebne dzwony w niem jęczą i dzwonią
Pieśnią upiorną, ponurą, grobową...
Spocząć... Tak, spocząć poszły me legjony
W noc tą, z pamięci mej nigdy nie startą...
Spocząć szedł legion na sen nieprześniony,
Kłaść się, miast w łożo — w mogiłę otwartą.
A z nim synowie obaj... może dzieci...
Odeszli ojca, odeszli Ojczyzny...
Niechaj im światłość wiekuista świeci!
Jeśli być mogą i na duszy blizny,
— A wtedy miałem jeszcze duszę żywą,
Do ofiar skorą, do czynów zapalną,
Na ból czy radość czułą i wrażliwą —
To w ową dla mnie noc grozy fatalną
Dusza się moja w tysiąc blizn rozwarła
I brocząc raną otwartą, krew piła
Ze mnie i dawno byłaby mnie zżarła,
Gdyby jej boleść moja nie zabiła...
Dziś trup z mej duszy — a czy uwierzycie?
Choć nerwy moje stężały jak z stali,
Choć już z mej duszy uleciało życie —
Jeszcze coś zrywa się w piersiach i pali...
Tak na dnie dawno wygaśniętych kraterów,
— Choć wulkan martwy i żarem nie bucha —
Wśród tajemniczych bulkotów i szmerów

Toczy się przecież jeszcze walka głucha...
 Noc już zapadła. Po swej krwawej pracy,
 Walką zażartą ciężko utrudzeni,
 Jak aniołowie zasnęli chłopacy,
 Młodości złotej zdrowym snem uśpieni.
 I cisza była nad naszym obozem...
 Nie spały tylko rozstawione straże,
 Czuwając bacznie nad swych braci łożem,
 Bo tak obyczaj wojenny im każe.
 Wtem... strzał, a za tym oderwanym strzałem,
 Jak werbel bije szybko strzał po strzale,
 Aż się rozspiewał tym groźnym chorałem
 Łańcuch placówek stojących na wale.
 I już bez końca grzmi klekot złowrogi...
 Zrywa się obóz, jak stado jastrzębi,
 I wrzawa rośnie: — Wrogi idą, wrogi!
 Do broni, bracia! — A wróg aż się kłębi,
 Pełźnie jak żmija — cicho się podkrada...
 Naraz, jak kruki, z nad ziemi się wzniesie,
 Krakaniem armat złowieszco rozgada,
 A echo leci po górach i lesie
 Niby krzyk, śmierć już wężących puszczyków.
 Roi się mrowie... pułki za pułkami,
 Tysiące armat, tysiące jaszczaków,
 I ogień bije całemi rotami.
 Niebo i ziemia jak w ogniu się pali;
 Łuny czerwone płomiennym językiem
 Liżą niebiosą — a z odległej dali
 Lecą pociski z skowytami i rykiem...
 Istny wiem sabat z lucyferem biesem!
 Tak nieraz w głębi afrykańskich borów
 Lub w dżunglach Indji nad świętym Gangesem,
 W gnieździe drapieżców i gadów — potworów
 Wybuchnie pożar po długich dniach suszy;
 Skrzydłem pożogi nad dżunglą łopoce —
 I naraz w cichych ostępach tej głuszy
 Zerwią się wrzawą, niby piekielne moce,
 Puszcz tajemniczych złowrogi mieszkańce.
 Prażone ogniem, z wyciągniętą szyją
 Skaczą na oślep, wiją się w łamańce,
 Chrapią i świszczą i ryczą i wyją...
 Smażane strachem, oszalałe, wściekłe,
 Nie widzą drogi i głosów nie słyszą...
 Pędzą, jak wichry, całe krwią ociekłe
 I jak szatany żądzą mordów dyszą...
 Na co się natkną, co w drodze im stanie,
 To w miał skruszone być musi i starte;
 Takie ich niesie szafu opętanie
 Rozmachem silne, ślepe i rozżarte...
 Podobnie z swoich bezpiecznych legowisk
 Pędzone naprzód własnych armat groźbą,
 Jak rozburzone miliony mrowisk —
 Ruszyły tłumy... Bezlitośną kośbą
 Siec rozpoczęły ludzki łań, jak trawę...
 Strach ich uzbrajał w moc i dzikie męstwo —
 Bo nie o laury szły walczyć i sławę,
 O los swej ziemi, zaszczytne zwycięstwo,
 O wolność ludów, o prawa człowieka,
 Lecz, by z błędnego wyrąbać się koła,
 Gdzie tylko jedno napewno ich czeka,

Głosem puszczyków przywabia i woła:
 Śmierć-upiorzyca, krwi ludzkiej wciąż chciwa...
 Więc już nie wroga, lecz by śmierć pokonać,
 Która ich zewsząd okala i wzywa —
 Idą i walczą, by... gasnąć i konać...
 Zerwał się obóz ze snu, w pół przytomny;
 Lecz wnet się ocknął i stanął w szeregu
 Silny i mężny, obowiązków pomny.
 — „Naprzód!” — i linja w tyralierskim biegu
 Już w swe ramiona tłumy wrogów bierze,
 Już im zachodzi z boków — rwie i kasa,
 I jadem ognia pluje; to, jak jeże,
 Kolce bagnetów nadstawia i płasa;
 Skręca się, zwija... Istny tan i harce;
 Jakby tu nie szła gra o byt i życie,
 Ale gra w piłkę... Młodzież bo nie starce,
 Wiodą ten „taniec wśród mieczów!” — Obficie
 Krew już zakwita jak róże, jak maki —
 I trup niejednego na ziemię się ściele...
 Ale nie tracą rezonu chłopaki
 I hukną śpiewem, jak organ w kościele...
 Fala najeźdźców, jak rzeka wezbrana
 Coraz się jednak burzliwiej rozlewa...
 Lecz legjon stoi jak mur i jak ściana;
 Falę odtrąca — a bije i śpiewa...
 A co się cofnie pod naporem burzy —
 To znów poskoczy naprzód i odwali
 Z męstwem, co nigdy chyba się nie znuży,
 Jak bryłę głazu ciężar grzmiącej fali...
 Lecz fala rośnie, rozdyma się, wzmacnia
 I bryzgą w koło śmiercionośną pianą...
 I słabnie opór, męstwo nie pomaga,
 Chwieje i wstrząsa już legjonu ścianą.
 Ucichły śpiewy... Odeszła ochota
 Śpiewać — bo naraz ta fala wyjąca
 Ścianę legjonu rozwarła, jak wrota...
 Potworna, straszna, huraganem grzmiąca,
 Jak pył rozmiotła pierwszych linii straże
 I rwać poczęła naprzód groźnym wirem...
 Zda się, że z karty żyjących wymaże
 Legjon nasz cały... Z łomotem i skwirem
 Szła niewstrzymana w błyskawicach gromów,
 W pożarze ognia i dymów kurzawie,
 Z hukiem lecących w przepaść skalnych złomów
 Koszmar ohydny, wstrętny sen — na jawie.

* * *

Ale wódz nie śpi... on patrzy i czuwa.
 Tylko mu płomień krasniejszy na lica
 Uderzył... Drgnął, nowe siły wysuwa
 Do walki... W dłoni szabli błyskawica
 Mignęła iskrą... Hej! naprzód ułani!
 Wziąć mi te rowy! Naprzód, naprzód zuchy!
 Ojczyzna patrzy — miłościwa Pani!
 Szczęknięt chrzęst szabel krótki, groźny, suchy;
 Zamigotały jak skrzydła motyli
 U lanc ułańskich barwne chorągiewki...
 Zadrzała ziemia — żołnierze ożyli!
 Ha! bo z ułanem polskim nie przelewki...
 Pędzą... Nad nimi unosi się chmura...
 Już są na karkach oszalałej dziczy...

— Niech żyje Polska! Naprzód, bracia! Hurra! —
 Już żądło szabel jak żmij żądło syczy...
 Wezbrana fala gnie się i rozpryska,
 Spłascza się, nisko na ziemi się kładzie,
 A piorun szabel raz wraz z sykiem błyska...
 Konie się szarpią, wspinają na zadzie
 I kopytami na łeb wroga lecą;
 Twardą swą pierś biją jak taranem,
 Strach, grozę, popłoch pośród wrogów niecą...
 Szwadron zwycięski jest już bitwy panem!
 Wróg mimo liczby, siły i rozzarcia
 Tył daje naszym, rwie się i rozprzęga,
 Nie może wstrzymać ułanów natarcia...
 A szwadron polski, jak stubarna wstęga
 To się w kłęb zwija — to znowu rozwija,
 A tnie i siecze, jak kosiarz na łące
 I na otuchę: „Tnij! Jezus, Maryja!” —
 Lecą okrzyki piorunne, gorące...
 Za tym szwadronem, szwadron drugi, trzeci

I ten ostatni nasz, najbardziej srogi —
 Jak orły z szumem potężnym w bój leci...
 Hej! tłuszczo czarna — śmierć tobie! Precz z drogi!

 Dzień ten dla wrogów był klątwą i klęską...
 W dzikim popłochu z miejsca się porwali
 I legjon wyszedł z ataku zwycięsko!
 I bój ucichnął — już niema Moskali!
 Wprawdzie, jak sztandar, gdy go kule zgryzą
 Jak mole, w gęste podziurawia sito,
 Trzyma się drzewca postrzępioną kryzą
 Na drobne włókna i nici rozbitą,
 Podobny raczej do zwichrzonej grzywy
 Niż do chorągwi — a jednak się trzyma
 I trzepie skrzydłem złamanem, wciąż żywy —
 Tak i z legjonu połowy już niema...

Aleksander Borucki.

(C. d. n.).

Rumunja, a Polska w XIX. wieku.

(Ciąg dalszy).

* * *

Costangalia i Rinreszti wyjaśniły w pewnej mierze sytuację polityczną na Wschodzie, nie naruszając w niczem dotychczasowych stosunków Polski z Księstwami Zjednoczonymi, które nie przestaną być nadal arsenałem powstańczym i punktem wyjściowym dla drobnych oddziałów. Wojska rosyjskie, rozmieszczone wzdłuż granicy rumuńskiej, były stale alarmowane możliwościami dywersji polskiej z tej strony, a straż pograniczne były raz po razu niepokojone wiadomościami o zbliżaniu się powstańców. Z tych przyczyn rząd rosyjski trzymał bardzo poważne siły wojskowe na Besarabji: dwa pułki kozaków wzdłuż granicy, pułk piechoty w Benderach, pułk w Kisziniowie, pułk w Bielcach, a w odwodzie stał 16-tysięczny korpus gen. Kotzebuego.

Krwawa bitwa pod Costangalia i rozbrojenie Polaków pod Rinreszti nie były zgodne z życzeniem ks. Kuzy, któremu szło głównie o zademonstrowanie lojalności politycznej wobec Rosji. Gdyby nie groźba najazdu moskiewskiego, wyprawa Miłkowskiego stałaby się marszem triumfalnym do Polski przez miasta i wsie rumuńskie, ponieważ wzdłuż projektowanej linii marszu oczekiwali ochotnicy z bronią, z końmi i z zapasami żywności, ażeby w odpowiedniej chwili dołączyć się do korpusu głównego. Trzeba jednak stwierdzić, że w postępowaniu czynników oficjalnych były pociągnięcia świadczące o silnym kursie polityki moskalofilskiej wśród członków rządu, w wojsku i w łonie administracji. Wojsko, dowodzone przez oficerów mameluków w rodzaju pułk. Calinescu, wypełniało rozkazy ślepo, z przesadną gorliwością i z dużą zajadłością. W raporcie bojowym ministra wojny gen. Florescu do ks. Kuzy jest wiele szczegółów, które ilu-

strują doskonale ducha, ożywiającego armję i administrację, w tej wielkiej wojnie polsko-rumuńskiej.

„Rezultat operacji jest bardzo poważny, gdyż dowodzi, że kraj może liczyć na energję i postawę wojsk Waszej Wysokości, dzięki którym została obroniona neutralność terytorjum rumuńskiego.

„Szybkie wyruszenie oddziałów z garnizonów, forsowne marsze, umożliwiające przyjsię w porę i natarcie na uzbrojoną bandę, która wdarła się na nasze terytorjum 12 lipca, dzielna postawa naszych żołnierzy w walce i ich łagodne postępowanie po przerwaniu ognia, są dobrą wróżbą na przyszłość i dowodem, że trudy i troski Waszej Wysokości na polu udoskonalenia armji zostały uwieńczone szybkim i pięknym rezultatem.

„Przy tej sposobności proszę posłusznie o wyrażenie uznania w Najwyższym Rozkazie Armji dla wysoce godnego zachowania się wojsk i o wyrażenie podziękowania pułk. Calinescu i jego podkomendnym, a szczególnie pułk. Dragulenescu, majorowi Scheleti i Sterian. Korpus medyczny wypełnił także sumiennie swój ciężki i święty obowiązek. Lekarz bataljonowy Ravescu i jego podchirurg dali dowody dużej gorliwości i całkowitego zaparcia się...

„Urzędnicy telegrafiści Szliber, Kniszka i Gorschi z Bolgradu, Reni i Cahulu na równi z całą administracją centralną dali poważną próbę dobrej woli, pełniąc bez przerwy służbę i zakładając bardzo szybko nowe stacje telegraficzne w ślad za armją...

„Urzędy administracyjne w Galacu, Bolgradzie Cahulu i Barladzie współdziałały nadzwyczaj aktywnie z wojskiem i dostarczały mu zawsze w porę wszystkich potrzebnych rzeczy. Tutaj pozwalam sobie wymienić ze specjalnem podkreśleniem p. dyrektora

Arbore z Bolgradu, który dowiódł nieznużonej wytrwałości na korzyść armji i okazał się prawdziwym opiekunem wojska...

„Oprócz wymienionych oddziałów minister wojny, w przewidywaniu poważniejszej komplikacji, na wypadek wtargnięcia tej zbrojnej bandy w głąb kraju, skierował w odpowiedni punkt bataljon 1 pułku pod komendą majora Racovita i bataljon saperów, pracujący na szosie obok Rimnicu — Sarat pod d-twem kapitana Slaniceanu. Oba bataljony ruszyły natychmiast i przybyły do miejsca przeznaczenia bez żadnego marudera, z szybkością oddziałów najlepiej zaprawionych do podobnych marszów. To wszystko pozwala mi całkowicie ufać w aktywność mobilizacyjną oddziałów i spodziewać się od naszych oficerów rozumnej i energicznej współpracy. Major Racovita i kapitan Slaniceanu zasługują na odpowiednie podziękowanie”.

W dalszym ciągu raportu następuje lista imienna oficerów, zasługujących na odznaczenia za waleczność, i żądanie kredytu nadzwyczajnego celem przyznania oficerom odszkodowania za wejście w kampanję.

W odpowiedzi na pismo ministra wojny, ks. Kuza wydał Rozkaz dzienny Nr. 671 z dnia 28 lipca, w którym zostały wyszczególnione zasługi oficerów i rozdzielone pochwały. Art. 1: — „Wyrażamy całkowite nasze podziękowanie pułkownikowi Calinescu za aktywność i gorliwość okazaną w prowadzeniu wojska, powierzonego mu w celu rozbicia bandy, która wdarła się nasze terytorjum 12 lipca 1863 r. wieczorem. Aleksander Jan (—). Minister Wojny Generał Florescu”. W rozkazach dziennych Nr. 672 i Nr. 673 książę panujący mianował, w dowód uznania za waleczność okazaną na polu bitwy, 2 oficerów kapitanami, 4 porucznikami i 10 podporucznikami.

W wojsku rumuńskim nie było także jedności, gdy szło o walkę z Polakami i nie wszyscy oficerowie dążyli do zdobycia zwycięskich laurów w tej potrzebie. W raporcie bojowym Nr. 3431 z 27 lipca minister wojny donosił księciu Kuzie o oficerach „którzy zeszli z prawdziwej drogi wojskowej” w chwili „kiedy armja była powołana do poświęcenia się dla kraju”. — „W podobny sposób kapitan Cociu i por. Apostolade zostali wymienieni w raporcie pułkownika Calinescu jako niezdolni do dowodzenia oddziałem na polu bitwy. Wobec tego proszę posłusznie Waszą Wysokość, ażeby ci dwaj oficerowie ze względu na ogólny interes armji zostali przesunięci w stan spoczynku”. W odpowiedzi na ten wniosek książę panujący rozkazem Nr. 674 z 28 lipca 1863 r. zarządza, że „kapitan Cociu i por. Apostolade przechodzą w stan spoczynku za niewypełnienie obowiązków na polu walki”.

Po zwycięstwie, odniesionem nad Polakami, zapanały w niektórych miejscowościach rumuńskich entuzjazm i radość. Dowodem tego może być depesza, wysłana przez pułkownika Calinescu do ministra wojny z Ismail, którą ogłosił Buciumul 12 sierpnia. — „O godz. 10 przemaszerowałem z oddziałem do Ismail. Zostaliśmy gorąco przyjęci przez całe miasto. Prefekt, urzędnicy cywilni, kler i damy wyszły z kwia-

tami na nasze spotkanie. Entuzjazm był wielki i wszyscy składali nam liczne wyrazy podziękowań. Po „Te Deum” mieliśmy wspaniały bankiet, wydany przez miasto dla całego oddziału liczącego 800 ludzi. Jest moim obowiązkiem zakomunikować Panu ten fakt patriotycznego zachowania się mieszkańców Ismail'u”

W odpowiedzi na powyższy raport Minister Wojny przesłał podziękowanie prefektowi miasta pułk. Steriade.

Równocześnie ze wszystkich stron kraju Rząd odbierał depesze gratulacyjne i wyrazy radości z powodu zwycięstwa odniesionego nad uzbrojoną bandą.

* * *

D-ca polskiego oddziału pułk. Miłkowski i Komisarz Wojenny R. N. major Przewłocki przyjechali do Bukaresztu na drabiniastym wozie i zamieszkali w hotelu, zachowując ściśle incognito. Przydzielony przez ks. Kuzę na przewodnika Francuz Dodun de Perrier poinformował ich, że cała Rumunja współczuje gorąco z Polską, że rząd czyni tylko „decorum”, że odda Polakom broń i puści ich do Polski, i że zezwoli na owację publiczną, jeżeli sobie tego życzą.

Dzienniki zamieściły wzmianki o przybyciu Miłkowskiego do Bukaresztu, Românul żalił się, że tylko osoby urzędowe mają dostęp do polskiego pułkownika; Buciumul pisał: „Miłkowski jest mężczyzną około 45 lat, średniego wzrostu, blondyn, poważny z wyglądu, pełen decyzji i energii, nosi surdut polski wyszywany czarnym sznurem. Major jest młodszy o wyrazie twarzy eleganckim, świeżym i zdecydowanym”.

Ks. Kuza w czasie audjencji był zrazu w fatalnym humorze, lecz wnet się wypogodził i zaczął rozmawiać poufale o zaszłych wypadkach. „Wyrządziłeś pułkowniku wielką Rumunji krzywdę” — mówił do Miłkowskiego. Cóżby świat powiedział o państwie, przez któreby zbrojne przeciągać mogły oddziały? Nie pomyślałeś o tem, Ty, którego Rumunja uważała za swego prawie. Znam ja ciebie znam z reklamacyj licznych, czynionych o osobę twoją przez Moskali i Austriaków. Pod nazwiskiem Melka w Michailenach mieszkałeś. Masz żonę i dziecko. Jam Cię bronił w imieniu Rumunji, a ty... jak się jej odwdzięczyłeś? Napadłeś ją, obrońców jej zabijałeś!... Czem jej krzywdę tę splącisz?... Rumunja kiedyś zażąda krwi twojej. Pamiętaj to, pułkowniku, sobie! Zadłużyłeś się w Rumunji krwią, kiedyś będzie ona walecznych potrzebowała ramion”.³⁹⁾

W dalszym ciągu rozmowy ks. Kuza był w serdecznym nastroju. Przyrzekł wypuścić na wolność aresztowanych agentów Rządu Narodowego Swiejkowskiego z Konstantynówki i Dr. Madejewskiego z Huszu. Wyraził życzenie, ażeby znajdował się stale przy nim agent pełnomocny Rządu Narodowego. Przyrzekł pomagać Polakom, lecz pod warunkiem, że będzie informowany o wszystkim, co Polacy zamierzają czynić, gdyż życzy sobie, ażeby wszystko było robione pocichu i bez hałasu.

W sprawie wypuszczenia na wolność internowanych żołnierzy polskich i ułatwienia im odejścia do

Polski oświadczył, że może uwolnić tylko 30 lub 40. Reszta znów musi być odtransportowana do Turcji, ponieważ tego wymaga sytuacja polityczna. Zaznaczył także, że ze strony Rządu Narodowego życzą sobie, ażeby cały oddział znalazł się w Turcji.⁶⁰⁾

Wczasy swego pobytu w Bukareszcie Miłkowski starał się zachować zupełne incognito i nie zgodził się na urządzenie rewji wojskowej na jego cześć na błoniach za Bukaresztem.

Z internowaniem oddziału Miłkowskiego został wstrzymany pochód ku Besarabji. Wobec tego inne drobne oddziały zaczęły marsz na własną rękę. Romanul z 30 lipca podał depeszę z Czerniowiec (23 lipca): „Dzisiaj nocą o pół mili od Nowo Sielicy rosyjskiej, powstańcy usiłovali przejść Prut i dostać się z Mołdawji do Besarabji, przyjęci jednak przez straż pograniczną rosyjską gęstym ogniem, wycofali się do Mołdawji”.

Z Rinzeszti oddział polski został przesunięty do Cahul, gdzie pod nadzorem prefekta Galacu Leona Ghiki miało nastąpić odłączenie oficerów od szeregowych. Oficerowie otrzymali wolną rękę, a szeregowi mieli być odstawieni do Turcji. Lecz prawie wszyscy oficerowie postanowili pozostać razem z szeregowymi. Po przybyciu do Reni oddział nie pozwolił się przewieźć na brzeg turecki. Turcy oświadczyli także, że nie przyjmą Polaków i że w razie czego będą strzelać kartaczami. Wobec tego oddział został cofnięty do wsi Anadol nad Dunajem.

Ks. Kuza nie wiedział, co robić. Do Bukaresztu przybył agent francuski de Bonniers i interwenjował w sprawie ostatnich wypadków polsko-rumuńskich z ramienia rządu francuskiego. Przyjechał także w tej samej sprawie z Paryża ks. Marceli Czartoryski i pertraktował imieniem Rządu Narodowego. W Konstantynopolu Sokulski i Cholewiński podtrzymywali upór rządu tureckiego w sprawie nieprzyjęcia Polaków z Rumunji na terytorjum Turcji.

Komisarz Rządu Narodowego na Księstwa Nadunajskie Michał Mrozowski przebiegał tymczasem Księstwa w różnych kierunkach, likwidując sprawy związane z wyprawą. W raporcie do Rządu Narodowego z 17 sierpnia Mrozowski stwierdził, że wybór Miłkowskiego na dowódcę wyprawy był niefortunny, ponieważ ten nie wzbudzał zaufania jako liberał bez sławy żołnierskiej i jako osobisty nieprzyjaciel wielu wybitnych emigrantów. W boju okazał się odważnym, lecz w organizowaniu oddziału i w traktowaniu z władzami słabym i chwiejnym.⁶¹⁾

Listem z dnia 10 sierpnia 1863 r. Mrozowski polecił pułkownikowi Miłkowskiemu zdać d-two mj. Jagminowi i udać się do Turcji w celu podtrzymywania jej oporu w sprawie odmowy przyjęcia Polaków z Rumunji. Z Konstantynopola Miłkowski udał się do Paryża i już więcej do Rumunji nie powrócił.

Po pewnym czasie ks. Kuza wezwał telegraficznie Mrozowskiego do Bukaresztu i oświadczył gotowość oddania zarekwirowanej broni. Przytem dodał poufnie, że „wszelką broń, amunicję i ludzi pozwala przez swój kraj do Polski lub Galicji prowadzić, ręcząc

swem słowem, że ani jedna sztuka skonfiskowana nie będzie. Przez Gubernatora z Galaczu kazał mi później jeszcze powiedzieć, że miłoby mu było, gdyby i z jego kraju oddział jakiś bez hałasu na granicy zorganizowany na Moskali uderzył — oznaczył mi nawet okolice i obywateli, którymby ubocznie dał rozkaz pomagania nam w organizacji”.

Wkrótce po wyjeździe Miłkowskiego broń została wydana Mrozowskiemu i cały oddział pomaszzerował do Polski, przechodząc w triumfie przez Mołdawję. Powstańcy maszerowali partjami po kilkunastu ludzi pod d-twem majora Jagmina. Miasta w czasie przemarszu czyniły im publiczne owacje; Bacau przystroїło się na ich cześć w sztandary; policja robiła im teraz wszelkie ułatwienia. Wszyscy dostali się na teatr wojny, gdzie zdobyli sobie sławę pod nazwą „Turkosów”.

ROZDZIAŁ V.

Prasa rumuńska wobec powstania styczniowego.

Wiść o wybuchu powstania w Polsce została przyjęta przez wszystkie dzienniki rumuńskie z dużym napięciem i z żywym zainteresowaniem. Głównym szermierzem sprawy polskiej stał się dziennik bukareszteński „Romanul”, redagowany przez wielkiego przyjaciela Polski C. A. Rosettiego. Pozatem sprawie polskiej służyły prawie wszystkie pisma polityczne: Independinta Româna, Conventinnea, Reforma, Buciumul i Nikipercea.

Począwszy od 26 stycznia 1863 r. „Romanul” maszerował stale na czele prasy oddanej Polsce i torował drogę opinii publicznej do zajęcia stanowiska serdecznie aktywnego wobec nadludzkich wysiłków polskiego narodu. Bardzo często jego szpalty od pierwszej do ostatniej strony były wypełnione artykułami o Polsce i sprawozdaniami z teatru wojny. Niestrudzony redaktor „Romanul'a” chwycił wlot możliwie największą ilość wiadomości o Polsce i oświeślał powstanie najserdeczniej i najobszerniej ze wszystkich dzienników europejskich.

Artykuły Rosettiego były pełne ognia i natchnione współczuciem dla męczeństwa bratniego narodu. Rozbrzmiewały w nich tony mickiewiczowskiego mistycyzmu, głosząc święte prawa ideałów narodowych. Ideologia Mickiewicza, zaszczerpiona w duszach emigrantów rumuńskich na bruku paryskim, wydawała plony w tych gorących dniach i wypuszczała świeże latorośle.

Dzienniki używały wszystkich możliwych środków, ażeby informować obszernie i wyczerpująco Rumunów o aktualnym stanie Polski. Reforma w artykule z 11 lipca 1863 r. p. t. Car i Polska ogłosiła tłumaczenie pierwszej sceny trzeciej części Dziadów w celu zobrazowania społeczeństwu rumuńskiemu okrucieństw, dokonywanych przez Moskali w Polsce — „ażeby dać czytelnikowi pojęcie o cierpieniach, na które są wystawieni ci męczennicy”. Tygodnik humorystyczny „Nikipercea” zamieścił szereg rysunków, obrazujących sytuację polityczną Polski. Jeden z tych

rysunków przedstawia niewiastę zakutą w kajdany z koroną na głowie — Moskal mierzy w nią z karabinu, a Prusak i Austriak trzymają broń w pogotowiu. Na rysunku, podpisanym „Gościnność naszego rządu względem Polaków (ażeby nie skompromitować kraju)” jest przedstawiona mapa Rumunii między Prutem i Dunajem — górą cały szereg wozów z bronią i amunicją ciągnie z Rosji do Serbji — w dole na prawo stoi powstaniec polski w rogatywce, frontem w stronę Prutu — stojący z lewej strony Rumun w cylindrze daje mu kopniaka. — Românul omawiał szeroko dzieło M. Mochnackiego, Powstanie Narodu Polskiego. Anonimowi poeci ogłaszali w dziennikach wiersze przepojone miłością i współczuciem dla Polski. Independinta Română w artykule „Miscarea poloneza” z 5 lutego pisała na temat polskiego hymnu narodowego: — „Jeszcze Polska nie zginęła! Są to słowa pełne wiary i miłości ojczyzny, któremi zaczyna się słynny marsz narodowy Dąbrowskiego. Te płomienne słowa są wyrte głęboko w sercu każdego Polaka, mężczyzny, kobiety, szlachcica, chłopca, starca i młodzieńca. Cała Polska robrzmiewa dzisiaj tym jednym okrzykiem: Jeszcze Polska nie zginęła!...” Nikipercea z 3 lutego wykpił dosadnie komunikaty rosyjskie w artykule „Revolutiunea Poloniei” podpisanym przez Brszwalskiego.

„Zamieszczamy informacje, nadesłane przez korespondenta z Warszawy w sprawie nielegalnego wybuchu rewolucji”.

„Rosja sprawiedliwa i dobra, filantropijna i wielkoduszna zagarnęła Polskę pod swoją opiekę, tylko poto, ażeby jej dać wychowanie polityczne i wywyżżyć ją na horyzoncie Europy jak słońce elektryczne. Pod ojcowską opieką Rosji Polacy cieszyli się wolnością i wszelkimi prawami. Rząd rosyjski obchodził się z nimi z niesłychanym poświęceniem. Wojsko, które Rosja utrzymywała w Polsce, nie było nigdy wojskiem najeźdźców, żołnierze moskiewscy byli rozmieszczani kwaterami po domach polskich, ażeby służyć mieszkańcom jako ordynansi, ażeby im ściągać wieczorem buty, rąbać drzewo i nosić wodę, zato otrzymywali jedyną zapłatę trzy świece łojowe na dzień, jedną na śniadanie, drugą na obiad, a trzecią na kolację. Żyli Polacy w objęciach Rosji jak na łonie Abrahama pod troskliwą opieką, dobrze rządzeni i świetnie administrowani, z tytułem Królestwa i z panującym cesarzem. Lecz nasi Polacy, zawsze niezadowoleni i źle wychowani, okazali się niewdzięcznikami wobec swej najlepszej przyjaciółki i babci, zaczęli jak ślimaki pokazywać rogi i szukać błędów w rządzie. Ich niedorzeczne pretesje wzrastały wolno; z rządzonych chcieli stać się rządzącymi; nadto chcieli jeszcze oddzielić się od Rosji i utworzyć swój własny rząd; zdążali nawet do tego, ażeby Rosja poddała się pod ich panowanie i pozwoliła rekrutować armję na ziemiach cara.

„Dobroć rządu moskiewskiego poszła jeszcze dalej; zaproponował on Polakom, ażeby każdy pozostał we własnym kraju, przyrzekając, że wojska rosyjskie będą wycofane z Polski. Polacy jednak nie mogą tego zrozumieć, żądają traktatów i nie chcą poprzestać na

sakramentalnej przysiędze rządu rosyjskiego, która jest składana na nos Kałmuka. Ponadto żądają, ażeby Rosja odstąpiła im swoje kraje i stała się sama hołdowniczką Polski.

„Rząd rosyjski był przerażony tem żądaniem i radził carowi, ażeby przeniósł rezydencję na Syberję, wiedząc dobrze, że Polakom nie sprzyja klimat tego kraju, i że w następstwie tego nie pomaszerują tam, by zabrać Rosji to co ma najdroższego. Obydwa rywalizujące narody są teraz w okresie rokowań; można się spodziewać, że dojdzie do porozumienia, ponieważ Rosja jest gotowa uczynić zadość wszystkim żądaniom Polaków, za wyjątkiem wydania Cara”.

* * *

Wszystkie dzienniki rumuńskie powitały powstanie polskie życzeniami zwycięstwa i oceniały zawsze sytuację Polski walczącej w sposób bezstronny. Dziennikarze wykorzystywali prasę zagraniczną, opisywali działania wojenne, kreślili sylwetki dowódców, podnosili polityczne i społeczne znaczenie powstania, podkreślali religijny i patriotyczny jego charakter. — „Jest rzeczą charakterystyczną polskiej rewolucji, że hasło do niej nie wyszło od żadnej partji politycznej, ani z obozu demagogów lub egzaltowanych Jakobinów, lecz jej źródło tkwi w samej duszy narodu” (Românul 16 lutego 1863).

Uważając powstanie polskie za naturalny wybuch uczucia narodowego, Românul (16. II. 1863) przeprowadził paralelę między powstaniami, kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym, ażeby dojść do wniosku, że to trzecie jest ostatniem ogniwem łańcucha wysiłków, przy pomocy których naród polski dąży do wyzwolenia się z kajdan rosyjskich. Antagonizm między Langiewiczem a Mierosławskim wzbudził powszechną trwogę, gdyż to dowodzi, że niezgoda polska jest objawem chronicznym. Teraz znowu ta zaraza zagładnęła do Polski. „Polacy! bohaterski narodzić! — wołał Românul (26. III. 63) — chrońcie się przed niezgodą, unikajcie własnej nieufności, wystrzegajcie się błędów 1831 r. Nie uważajcie każdego człowieka ambitnego za zdrajcę. Nie oczekujcie niczego od dyplomacji europejskiej, lecz wszystkiego od swej mocy, i siły”. Każde większe zwycięstwo wywoływało w tym kraju powszechną radość. — „Wierzmy i jesteśmy przekonani, że w całej Europie nie znajduje się człowiek, któryby nie sympatyzował z tym narodem, męczennikiem wolności, który od stu lat przelewał krew na wszystkich polach bitew, gdzie tylko jaki naród walczył o wolność i niepodległość; także wrogowie polityczni nie mogą mu odmówić współczucia pełnego szacunku” (Românul 23. II. 63).

Ze szczególnym naciskiem podkreślały dzienniki europejskie znaczenie polskiego powstania. Românul ogłosił apel Garibaldiego do ludów Europy, list V. Hugo do żołnierzy rosyjskich i wezwanie Quinet’a do duchowieństwa katolickiego. — „Miałem szczęście — pisał Quinet — oglądać odrodzenie się Grecji, Italji i Rumunii, teraz proszę Pana Boga, ażeby mi przedłużył życie, bym mógł jeszcze zobaczyć zmartwychwsta-

nie Polski... Bierzcie krzyż i maszerujcie na czele; dzwon alarmowy rozbrzmiewa z wieży Św. Pietra w Rzymie, a jego głos słychać między Wisłą i Niemnem, w każdym mieście i w każdej wsi polskiej". Za włoską gazetą „Popolo” powtarzano: — „Rewolucja polska jest aktem rozpacz i krwawym oskarżeniem pod adresem Europy i współczesnej cywilizacji”.

Ogłaszając apel Emila Girardin do cesarza Aleksandra, Rosetti wskazywał na długoletnią walkę Polski o odzyskanie bytu państwowego. — „Rok temu Polacy dali całemu światu niesłychane widowisko; tysiące starców, mężów, młodzieńców, niewiast i dzieci nuciło pieśń narodową; wszyscy śpiewali klęcząc, przed bagnietami potężnego najeźdźcy i umierali z okrzykiem: Niech żyje Polska! Wówczas wszyscy rozumni krzyczeli: Polacy są szaleni. Dzisiaj z krwi przelanej w Polsce wpadają krople do serca całej ludzkości; skoro tam się usadowią, wtedy swoją obfitością wzbudzą podziw i poszanowanie całej ludzkości dla uciemnionej Polski”.

W sprawie interwencji europejskiej, Romănul z 14 lutego oświadczył, że Polska wybrała zły moment do walki, ponieważ Rosja nie jest w żadnym kierunku zaangażowana zbrojnie. Rząd francuski i cesarz Napoleon nie będą mogli interwenjować w sprawie polskiej, gdyż jest to sprawa o charakterze europejskim.

Co pocznie w takim wypadku Rumunja?

„Rumuni są sąsiadami Polski, lecz są rozbrojeni i nieorganizowani. Niektórzy z Polaków zostali nawet przepędzeni przez rząd poza granicę; była już o tem mowa w Izbie poselskiej. Na wypadek interwencji ogólny interes Europy żąda, ażeby Dunaj i Besarabia dostały się w ręce ludzi dobrze uzbrojonych, energicznych i wyrobionych politycznie. Jeżeli Rumuni nie okażą się zdolni do wykonania tego zadania, to Austria stawszy się liberalniejszą może zająć ich miejsce w polityce europejskiej. Taka jest i taka być może nadal sytuacja; taki może być piorun grożący nam, o którym nie wie sam p. Cogălniceanu, stojący na naszym czele. A my co robimy? Jaki mamy piorunochron? Nieporządek w finansach, nieporządek we wszystkim i wszędzie dyktatura nieporządku”.

* * *

Wyprawa Tulczańska odbiła się rozgłosnem echem w prasie i wzniciła żywą polemikę. Buciumul chwalił gorliwość pułkownika Calinescu i uważał proklamację Miłkowskiego za obrazę dla narodu rumuńskiego. Odpierał atak Rosettiego na rząd, który patrzył przez palce na transporty broni ciągnące przez terytorjum rumuńskie do Serbji, podczas gdy wobec polskiego oddziału okazał nadmiar czujności i zajądłości, i twierdził, że między Serbami a Rumunami nie było nigdy wojen, i że stosunki serbsko-rumuńskie były zawsze oparte na szczerej przyjaźni. Wypuszczał złośliwe uwagi pod adresem Sadyka Paszy, który miał się wyrazić, że jest pewnym przebiccia się oddziału Miłkowskiego przez Mołdawję. — „Pomylił się i tak pomyli się każdy, kto będzie sądził, że Rumunja pozwoli naruszać swoje terytorjum”.

Stanowisko Romanul'a w tej sprawie jest znane. Radu Jonescu 24 lipca w artykule „Lupta cu Polonii” maluje w dosadnych kolorach tragiczne następstwa bitwy pod Costangalia.

„Co powie Polska? Co powiedzą Francja, Anglja i Austria? Co powiedzą wszystkie narody cywilizowane i prasa wszystkich krajów, gdy sobie uświadomią, że poza rządem Rosji znalazły się w Europie tylko dwa rządy, pruski i rumuński, które wbiły bagniet w pierś nieszczęśliwych Polaków!

„Zaprotestujmy przeto z całej naszej mocy, w imię wolności, w imię ludzkości i w imię interesów narodowych w oczach Polski i Europy przeciwko błędnemu i nieobliczalnemu postępowaniu obecnego rządu!”

Nikipercea z 18/30 lipca 1863 w artykule „ReviŃta politica” pisał: — „Zwycięstwo odniesione nad Polakami napełniło nas radością. Kurjerzy nasi wyruszyli we wszystkie strony świata, ażeby głosić wszystkim cesarstwu, w jaki sposób my ufni w swoją misję, obroniliśmy Europę cywilizowaną od nawały barbarzyńców.

„Jedna tylko rzecz zakłuca nasz entuzjazm i radość, gdy dziękujemy Panu Bogu, że zezwolił nam wyciągnąć szablę z pochwy, nałożyć bagniet na lufę karabinu, i wbić go w... kogo? W nieszczęśliwą Polskę!...

„Wielkiego i cudownego dzieła dokonaliśmy.

„Tak, wiedzcie, że sprawiliśmy wielką przysługę ludzkości, przeciąwszy drogę, z poświęceniem krwi dzielnych naszych żołnierzy, tym co szli walczyć o wyzwolenie Polski z pod jarzma despotyzmu, co ją gnębi. Ponieważ znów żaden czyn nie bywa bez zapłaty, dlatego mamy pełne do niej prawo.”

* * *

Za przykładem prasy francuskiej i włoskiej zorganizowano także w Rumunji składki pieniężne na rzecz powstańców. W Romănul'u z 22 lutego czytamy „Apel do Rumunów”.

„Panie Redaktorze!

„Rumunja dowiaduje się z dzienników francuskich, angielskich, niemieckich i rumuńskich w sposób alarmujący o nieszczęściach jakie uderzyły w tysiące polskich rodzin, poświęcających swe mienie i życie w walce o wolność i niepodległość Polski.

„La Patrie” dziennik półoficjalny rządu francuskiego, otworł subskrypcję na rzecz rannych Polaków i ofiar wojny, a do apelu o subskrypcję dołączył następujące uwagi...

„Wypadki w Polsce podnoszą dwie kwestje:

„Kwestję polityczną, która oczekuje rozwiązania ze strony wielkich mocarstw Europy.

„Kwestję ludzkości, do której rozwiązania winni dopomóc wszyscy.

„Uczynek miłosierny nie ma własnego sztandaru, bo wszystkie sztandary są dla niego. Na widok tak wielkiego i niezasłużonego nieszczęścia, stronnictwa się jednoczą, różnice zdań się zacierają...

„Od miesiąca rany Polski się krwawią w strasz-

nej walce. Ochotnicy polscy, atakowani przez liczne armje, stawiają czoło bataljonom rosyjskim, zostawiając na każdym kroku zabitych i rannych.

„Któż we Francji mógłby pozostać nieczułym na tyle cierpień i na tyle nieszczęść...”

„Zwracając się temi słowy do Rumunji, jest naszym obowiązkiem przypomnieć narodowi rumuńskiemu, że rozpaczliwa wojna polska oddaliła na długie lata, a może i na zawsze, wielkie nieszczęście, które groziło przyszłości narodu rumuńskiego.

„Spodziewam się, że Rumuni zrozumieją ten obowiązek i jako dobrzy patrjoci pospieszą złożyć na ołtarzu ludzkości jednego obola dla rannych Polaków i dla ofiar wojny.

„Bądź Pan łaskaw, Panie Redaktorze, zapisać na mnie 1.600 lei i przyjąć zapewnienie mego wysokiego szacunku H. Un filo-polonezu.

Apel został przedrukowany jeszcze w Independita Română. Rumuni nie dali się prosić, a Românul, Nikipercea i Independinta ogłaszały imienne listy ofiarodawców.

W tej akcji filantropijnej Rosetti znalazł przeciwnika w innym wielkim przyjacielu Polski, w Bogdanie Petriceicu Hasdeu, który z obawy o nadużycia sprzeciwiał się stanowczo zbieraniu składek. W artykule „D. Rosetti si Polonii” drukowanym w Aghuita 16 stycznia 1864 r. przyznawał się, że matka jego była Polką, że mówił po polsku od dzieciństwa, że ukończył szkoły w Polsce, że kochał się w tuzinie Polek, że nosił bródkę polską, że lubił barszcz i zrazy polskie, lecz mimo tego wszystkiego był przeciwny wysyłaniu pieniędzy w nieznanym kierunku i na nieznanne cele.

„Musicie przeto przyznać, że p. Rosetti w żadnym wypadku nie może sympatyzować w takim stopniu i z tylu przyczyn ze sprawą polską jak sympatyzuje z nią Aghuita.

„Mimo to ja nie podpisałem, nie podpisuję i nie podpiszę nigdy subskrypcji pieniężnej na rzecz powstania w Polsce, jak to czynił, czyni i będzie czynił p. Rosetti.

„Miłkowski i ks. Czartoryski, w czasie przejazdu przez Bukareszt oświadczyli otwarcie, że Polacy nie potrzebują pieniędzy, tylko zbrojnych ramion.”

* * *

Bukareszt przeżywał niejedną sensację związaną z powstaniem w Polsce. W pierwszym rządzie zasięga na uwagę proces C. A. Rosetti'ego, redaktora Românul'a w sprawie artykułów broniących Polski. Przelana obustronnie krew pod Costangalia wywołała poważne starcie między Românul-em, który z zapałem romantycznym bronił bezinteresownie sprawy polskiej, a Buciumul'em, który jako organ rządowy i nastrojony w pewnej mierze moskalofilsko, zwalczał bezwzględnie i potępiał działalność emigracji polskiej na terenie Rumunji.

W numerze z 13/14 sierpnia Românul rostrząsał szeroko sprawę walki Rumunów z Polakami, a zwracając uwagę na niekulturalny styl Monitora Armji, przytaczał z niego wyjątki.



POLSKA FABRYKA PIECZĘCI

kauczukowych i metalowych, tablic, odznak, herbów i monogramów. Dla Szkół, Zakładów, Urzędów i Stowarzyszeń ceny zniżone. ZAKŁAD ARTYSTYCZNO - RYTOWNICZY

J. WALENTA

Kraków, ul. Sławkowska 3 (Hotel Saski).

„Banda cudzoziemców zgwałciła nasze terytorjum, a przechodząc po naszej ziemi, okryła nas hańbą, poniżyła nas w naszym kraju... Znalazł się jeden jedyny dziennikarz, który podjął się obrony sprawy cudzoziemców, którzy wkroczyli między nas jak w kraj barbarzyński, nie bacząc na prawa narodów i neutralność naszego terytorjum, i którzy w ostateczności dali odpowiedź godną bandytów, powodując rozlew krwi rumuńskiej”.

Românul komentował ostro wyrażenia Monitora, poddawał ostrej krytyce postępowanie rządu, nie wychwalał waleczności wojska rumuńskiego i wskazywał na niedokładności w raportach pułk. Calinescu.

Monitor Armji Nr. 41 z 14 sierpnia ogłosił za Buciumulem długi artykuł p. t. „Românul a najazd cudzoziemski”, w którym atakował Rosetti'ego.

„Krzyk oburzenia naszego sumienia przeciwko wicherzycielskiemu dziennikarzowi znalazł potężny odgłos w szlachetnych sercach Rumunów i wstrząsnął ich dusze jako wyraz bóleści głębokiej i jawnej. Ze wszystkich stronnictw odezwał się powszechny głos potępienia przeciw złowrogim planom nieprzyjaciół kraju. Organ interesów obcych, w chwili jednomyślnego stanowiska wszystkich, wścieka się, nieci niepokój, traci umiarkowanie i od kilku dni kołuje w protestach słabych i drugorzędnych”.

Jednak Rosetti nie ustawał w walce i twierdził otwarcie, że krwawe starcie pod Costangalia było rezultatem porozumienia się rządu rosyjskiego z rządem rumuńskim. Atakował ostro rząd, krytykował ministrów, zaczepiał stanowisko prokuratury państwowej i naigrawał się ze stylu dzienników urzędowych, które pisały: „Redakcja Românul'a jest organem cudzoziemskim i wywrotowym, jest organem koalicji, która wzięła sobie za cel bezpośrednie sprowokowanie najazdu rosyjskiego; redaktorzy są kryminalistami bez sumienia i bez duszy.”

Dnia 28 sierpnia Prokuratorja Sądu Apelacyjno-krym. wysłała następujące pismo:

„D. C. A. Rosetti, dyrektor dziennika Românul!

„Jest pan proszony stawić się w poniedziałek 31 sierpnia w kancelarji prokuraturji o godz. 11 rano, ażeby odpowiadać w sprawie artykułu ogłoszonego w dzienniku Românul, który został podpisany przez Pana”.

Proces Rosetti'ego wywołał w całej Rumunji zdziwienie i oburzenie. Na wiadomość o wystosowaniu przez prokuratorję aktu oskarżenia, z różnych stron kraju zaczęły nadchodzić pod adresem Rosetti'ego depesze w tej treści — „Prosimy o podanie przez pań-

ski dziennik dnia rozpoczęcia rozprawy, bo jesteście gotowi stawić się tam w licznej gromadzie".

Protokół rozpoczął się 21 września w Sądzie kryminalnym; orzeczono większością 4 głosów, że autor artykułu może być obwinionym. Na skutek tego orzeczenia Rosetti został oskarżony o agitację podburzającą żołnierzy do nieposłuszeństwa względem przełożonych. Rozpoczęła się rozprawa trwająca kilka dni. Numery Românul'a z 24, 26, 27, 28/29 września są całkowicie wypełnione sprawozdaniami z tego procesu, który się toczy wśród polemik i kłótni. Po przemówieniu Rosetti'ego prokurator oskarżył go o przestępstwo usiłowania wywołania w wojsku anarchii z powodu bezpośredniego zwracania się do wojska i o zbrodnie stanu za obrzucanie obelgami rządu.

Pod naciskiem opinii publicznej proces zdążył szybko do rozwiązania. Po odczytaniu przez prezesa Sądu wyroku, uwalniającego Rosetti'ego od winy, na galeriach i nazewnątrz gmachu sądowego zagrzmiwały huczne okrzyki, wiwaty i oklaski. Tłumy rozchodziły się z okrzykami: Niech żyje Polska! Niech żyje Rumunja!

ROZDZIAŁ VI.

Upadek powstania styczniowego i dalsze losy emigracji polskiej na Wschodzie.

Po zlikwidowaniu wyprawy Miłkowskiego, Polacy nie zaprzestali swej działalności na Wschodzie. Z terytorjum rumuńskiego przemycano w dalszym ciągu broń i amunicję. Powstańcy, przyciśnięci do muru, znajdowali zawsze na Mołdawji gościnne przyjęcie, a ranni schronienie i opiekę. Mając oparcie w zapewnieniach rządu francuskiego, ks. Kuża zajmował wtedy w stosunku do powstania stanowisko zdecydowanie przychylne. Rząd narodowy korzystał dużo z tej koniunktury; agenci Mrozowski, Oksza, Woronicz i inni przebiegali stale po linii Galac, Bukareszt, i Jasy. Transporty broni i amunicji, przywożone na statkach francuskich do Galacu, szły potem całkiem swobodnie ku granicy. Agenci austriacy i rosyjscy protestowali i meldowali, lecz zawsze bezskutecznie. Europa zaczęła na nowo niepokoić się kwestją wschodnią i szły słuchy, że za podniętą Francji Rumunja dąży do rozpętania nowej wojny wschodniej w sprawie polskiej.

Z powodu zmiany nastrojów wszystkie siły polskie rozprószone na Wschodzie zostały wykorzystane dla powstania. W jesieni 1863 r. nie było już na Wschodzie, za wyjątkiem Kaukazu, Polaków zdolnych do noszenia broni. — „Co było lepszego — pisał w październiku Woronicz — wyszło już dawno samo, reszta była w wyprawie Miłkowskiego i już także dostała się do Galicji. Zostało nieco inwalidów, albo łajdactwo, albo wreszcie ludzie obłożeni familjami".

Przy końcu 1863 r. coraz więcej rozbitków i rannych zjawiało się w Rumunji. W listopadzie przybył do Tulczy Francuz Rivoire, który po bitwie pod Costangalia przedostał się do Polski i walczył w Królestwie. Aresztowany potem w Galicji, siedział w wię-

zieniu austriackim. Wypuszczony z więzienia jechał przez Tulczę do Francji jako oficer polski, celem leczenia się z ran, z zamiarem szybkiego powrotu na teatr wojny. W pierwszych dniach stycznia 1864 r. zebrała się w Tulczy większa gromada powstańców „bez odzieży, chleba i mieszkania" ku wielkiej niechęci władz tureckich.

W ten sposób następował okres likwidowania działalności powstańczej na Wschodzie. Wiara w zwycięstwo marniała, a zwątpienie wciskało się wszędzie.

* * *

Ostatnia większa manifestacja na cześć Polski miała miejsce w Bukareszcie w pierwszą rocznicę wybuchu powstania 22 stycznia 1864 r. W Românul'u z 18/19 stycznia pisał Rosetti:

„We czwartek 22 stycznia o godz. 11 rano Polacy obchodzą będą uroczystości w kościele katolickim w Bukareszcie rocznicę wzniesienia sztandaru niepodległości narodowej. Wszyscy przyjaciele Polski są proszeni do wzięcia udziału w obrzędzie pogrzebowym, który będzie celebrowany za męczenników narodu i wolności".

„W dniu tym Rumuni stawiają się w Kościele Katolickim („Biserica Catolica Baratia"). Udadzą się tam tłumnie. Wszystkie klasy społeczne będą reprezentowane w tem wielkim i braterskim Zgromadzeniu Narodowym. Obecnością naszą pokażemy Europie, że jesteśmy narodem, że czujemy z Polakami, że lubimy i szanujemy Polskę.

„Przypominam wam tutaj, że Polacy walczą bez przerwy wśród pożarów, upałów i mrozów, ponosząc śmierć na szubienicach i inne rozliczne męki. Żyją jedynie w lasach i walczą pomimo braku broni, ubrań i żywności. Szeregi powstańców maszerują na śmierć; przechodzą wobec Europy zdziwionej tak niebywałym heroizmem, podobnie jak w starożytności przechodzili przed imperatorem Rzymu zasądzani na śmierć. Przechodzą ze słowami na ustach: „Morituri te salutant".

W dalszym ciągu artykułu Rosetti omawia szeroko perspektywy polityczne Polski i Rumunji. Wzywając do składek na rzecz powstańców, kończy słowami:

„Polsko i Rumunjo! Wasze przymierze będzie zwycięstwem, sławą i szczęściem".

W Românul'u z 22 stycznia Rosetti zamieszcza sprawozdanie z odbytej uroczystości.

„Dzisiaj w Kościele Katolickim obchodzono uroczystości rocznicę powstania Polaków do walki o odzyskanie niepodległości. Wszystkie warstwy społeczne i wszystkie stronnictwa polityczne były reprezentowane w czasie tej bolesnej i wznieśłej uroczystości: przedstawiciele przemysłu i handlu, deputowani do Zgromadzenia Narodowego, obaj prezydenci Izby Panu i I. Ghika, profesorzy, artyści, lud, kobiety i dzieci. Wszyscy przybyli nauczyć się od Polaków, że tylko ten naród może żyć, który umie umierać za ojczyznę i wolność. Tego właśnie musimy się nauczyć, jeżeli chcemy być narodem. Niechaj krew Polaków męczen-

ników będzie z nami na zawsze, a wtedy Rumunja dowiedzie, że jest z nimi". (C. A. R.).

W dniu nabożeństwa odprawionego na intencję Polski w Bukareszcie przyszło do manifestacji publicznych i do dużego wzburzenia umysłów. Kiedy konsul moskiewski wsiadał do powozu, ażeby jechać do ks. Kuzy z żądaniem zakazu mszy i uwięzienia uczestników, rzesze ludu zgromadziły się przed gmachem konsulatu i wyprawiły mu kocią muzykę, goniąc za powozem z niesłychaną wrzawą i hałasem.

* * *

W pierwszych miesiącach 1864 r. projektowano w dalszym ciągu organizację regularnych oddziałów polskich na terytorjum Rumunji. Kapitan Zgrowski, jak twierdzi historyk Xenopol, pertraktował wtedy z ks. Kuzy w tej sprawie. Otrzymał jednak taką samą odpowiedź jak poprzedni agenci: — „Mam największą sympatię dla waszej sprawy, lecz nie mogę narażać na niebezpieczeństwo własnego kraju. Jeżelibym wam zewolił zbroić się na naszym terytorjum, Moskale mieliby prawo uważać Rumunów za nieprzyjaciół. Przewoźcie broń małymi transportami i przeprowadzajcie ludzi w małych oddziałach, byle nie jawnie i nie za dużo".⁶²⁾

Te wszystkie projekty okazały się jednak bezskutecznymi. Powstanie zamierało na wszystkich frontach. W stronę Rumunji kierowały się mniejsze i większe grupy powstańców, ustępując przed wojskiem rosyjskim i chroniąc się przed represjami austriackimi. W kwietniu wkroczył na Mołdawię oddział, liczący 200 ludzi i koni, i znalazł tam gościnne przyjęcie i schronienie; jego dowódca pułk. Weleżyński jeździł po instrukcje do Tulczy i do Konstantynopola, ponieważ do ostatniej chwili nie doszło do skoordynowania polskich agend w Rumunji, a bardzo ważne stanowisko w Bukareszcie stale wakowało. Przy tym stanie rzeczy pomagał jedynie skutecznie rozbitkom J. Woronicz ze swego stanowiska urzędnika konsulatu francuskiego w Tulczy.

* * *

Z upadkiem powstania styczniowego zamyka się okres historii stosunków polsko-rumuńskich, rozpoczęty przez konfederatów barskich. W okresie tym, trwającym prawie 100 lat, Polacy dążyli do stworzenia na terytorjum Rumunji bazy operacyjnej do walki z Rosją o niepodległość. Z tego punktu widzenia Rumunja zaprzętnęła umysły wielu wybitnych Polaków jak H. Dąbrowski, J. Lelewel, Czartoryski, Mochnacki, Bem, J. Wysocki, Czajkowski, Miłkowski, A. Mickiewicz, L. Bystrzonowski. Wł. Zamojski, Wł. Mickiewicz i t. d. Po roku 1864 nastąpiła w przyspieszonym tempie likwidacja emigracji polskiej na Wschodzie, która straciwszy nadzieję powrotu do kraju, ulegała stopniowej asymilacji otoczenia i dążyła do ugrunto-

wania swego bytu materialnego w nowych warunkach. Wielu wybitnych Polaków osiedliło się wtedy w Rumunji i Bułgarji, wnosząc do tamtejszych społeczeństw walory kulturalne i twórcze. Dawni żołnierze niepodległościowi przekształcali się zwolna na fachowców, i tęgich pracowników społecznych, a do dnia dzisiejszego żyje jeszcze o nich tradycja w Rumunji. Tylko niewielka liczba nieuleczalnych żołnierzy ciągle sposobila się do wojny o Polskę. Do ich rzędu należał major J. Jagmin, podkomendny Miłkowskiego z garstką oddanych sobie towarzyszy broni. Kiedy w 1877 r. przyszło do wojny rosyjsko-tureckiej, wtedy Jagmin zorganizował w Turcji oddział pod nazwą legjonu polskiego, walczył na jego czele z Moskalami i Rumunami i znalazł śmierć na polu bitwy nad modrym Dunajem, który był jakby osią jego działalności życiowej.⁶³⁾

Po roku 1864 dyplomacja europejska przestała się zajmować sprawą polską. O współpracy polsko-rumuńskiej niewiele także słyszeć się będzie. Pod wrażeniem ostatnich nieszczęść Polski został zrehabilitowany z okazji odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Montmorency adres do Wł. Mickiewicza, podpisany w Paryżu przez 39 studentów rumuńskich, w którym młodzież rumuńska przestała wyrazić uwielbienia dla wielkiego poety i wyrazić sympatię dla nieszczęśliwego narodu polskiego. — „U wszystkich narodów — pisali studenci rumuńscy — imię Polski wzbudza współczucie dla jej nieszczęść oraz podziw dla jej bohaterów w powstaniach; a Polskę i Rumunję łączy ponadto bardzo silny węzeł: braterstwo nieszczęścia. Nieprzyjaciół, który was gnębi w obecnej chwili, dokonywał w przeszłości także najazdów na naszą nieszczęśliwą ojczyznę, panuje obecnie nad naszą prowincją i jeszcze teraz zagraża jej egzystencji... Dzisiaj przeszły dla nas dni żałoby; sprawiedliwość stało się zadość... Nadejdzie także dzień taki dla Polski. Od Bałtyku aż po morze Czarne i Dunaj, Polacy, Rumuni, Serbowie i Bułgarzy, nauczeni nieszczęściem, odrodzeni wolnością i zjednoczeni siłą, wprowadzimy cywilizację na nowe i obszerne pola i sprawimy, że panować będą sprawiedliwość, wolność i pokój tam, gdzie długi czas panowały się w triumfie nieszczęście i barbarzyństwo. Niech żyje Polska!"⁶⁴⁾

Był to ostatni głos ze strony rumuńskiej, wzywający Polaków w XIX. wieku do przetrwania nieszczęść z wiarą w wyzwolenie.

Po wojnie światowej oba narody, wierne swej tradycji historycznej, podały sobie ręce do wielkich zadań w polityce międzynarodowej i do zgodnego współżycia sąsiedzkiego, bo nie może być między nimi żadnych kwestyj spornych, prócz tych, któreby stworzyć mogły intrygi polityki niemiecko-rosyjskiej.

Dok. nast.

Stanisław Łukasik.

Preludjum Chopina.

Z żółkłemi liśćmi gnanemi, wichrem w ulicę, szalały i lkały skrzypce na starem poddaszu. W obłąkanem zawrocie wciśnięto się preludjum w szczelinę i szczyby starych ram okna przeciwległego piętra — dzwoniło o szyby i szeptało dziewczynie, że kwiaty już tęsknią za wiosną... Szał promieniejący w jakimś zachwyceniu... Lazurowe, pełne oczy nabierały marzących blasków, pozbawiając się swej bezświadomej nieruchomości.

Płynęły jego myśli wraz z tą muzyką skrzypiec, która wnikała wszędy i echem swej tragicznej melodii wsiąkała w powietrze, przeciskała się przez szpary okien, wpadając dźwiękami do małej izdebki, jakby chciała oderwać dziewczę od pracy — od szycia na maszynie... Spieszyła się i szła całą noc i dzień. Zgrzytały, piszczące koła poruszane mdlejącymi już od wyczerpania nogami — wreszcie stanęły — bo ulubione przez nią preludjum płynęło z przeciwną...

Przetarła zamierające z bezsnu duże oczy, nakryte firanką długich rzęs, które przekreślały wraz z silnie rysującą się brwią bladą jej zbiedzoną twarz. Snuła dziewczęce, białe marzenia... Nie mogła już dalej szyc, narzuciła więc na ramiona płaszczyk i zbiegła nadół.

Skrzypce przestały płakać...

Zamknął okno i zbiegłszy szybko po schodach, znalazł się już za bramą domu.

Spotkali się wzrokiem.

Spojrzał wielkimi oczyma na skromną dziewczynę, która w skromnej sukience, przygwożdżona rozprzegającym zakłopotaniem spuściła oczy.

Milczenie...

W wylekniionych oczach studenta zamigotał wreszcie blask świadomości i wstyd ogarnął go. Poczzerwieniał, machinalnie z przyzwyczajenia przesunął po guzikach munduru studenckiego palcami, zerwał czapkę z głowy z zamaszystym ukłonem i musnął dłonią rozwichrzoną czuprynę spadającą na czoło.

— Dobry wieczór!...

Pokraśniała, odwróciła twarz, chwilę szukała w zmaczonej głowie słowa, i czując dziwne drżenie, przebiegające ją od stóp do głowy, przywołała w pomoc cały zasób panowania nad sobą i rzekła prawie szeptem do niego:

— Istotnie, więc to pana preludjum tak płacze...

— Nie moje, pani — to Chopina — — ja tylko marny pył — trącam o struny...

Odwróciła zaczerwienioną zlekka twarz i ruszyła zwolna z miejsca. On zaś nacisnął szybko czapkę akademicką na niesforną czuprynę i postępował obok niej, a raczej za nią, gdyż wąski chodnik nie pozwalał im iść obok siebie. Był głodny, gdyż nie jadł nic od rana, lecz nie tracił fantazji młodzieńczej. Szli chwilę milcząc.

— Pani stale pochylona nad jakąś pracą — pra-

wie zawsze od rana do wieczora na jednym miejscu...

— A ładnie, więc pan mnie podpatruje!...

— Ależ, nie, mieszkamy przecież naprzeciw i widzieć muszę...

— Tak, panie — szyję od rana do wieczora i nie mam już sił. Zbiegam na dół, by na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza i znowu wrócić do mojej maszyny. Jestem biedną i muszę pracować na utrzymanie.

Patrzył na idącą tuż przed nim sąsiadkę i nie mógł zauważyć szczupłości jej ciała i głęboko osadzonych dużych przepaścistych, znękanych niespaniami nocami oczu, ale tak cudnych barwą, oprawą i przysłoniętych tak długimi firankami rzęsów... Szukał słów, żuł je w ustach — wreszcie ozwał się:

— Będę z panią szczerym, bo tak nam trzeba — prawda?

Nie wiedział — dlaczego użył wyrazu nam.

— Powiem więc tak, jak jest naprawdę. Jestem biedny student, nie mam w kieszeni ani złamanego grosza... nie jadłem nic od rana, uczyłem się do egzaminu, a gdy mnie opuszczały siły i fantazja — zacząłem grać...

— A dlaczego — preludjum?

— Widocznie to tak z duszy — jakoś...

— Ale pan tak często — to gra.

— Bo dzień każdy u mnie podobny kubek w kubek — jak to ludzie mówią.

Przystanęli na moment, świadomi ogromu swoich wyznań, które wypowiedziane głośno przejęło ich samych ubezwładniającą grozą. Zwiesiła piękną głowę, wiatr tylko nieubłagany targał jej puszystym włosom i całował zlekka rysujące się piersi i ciało.

Milczała smutna.

On ciągnął dalej, targając nerwowo guzik munduru.

— Jestem nędzarzem prawie... choć w mej duszy są jakieś pono wartości... ale umieściłem je tak, że nic mi dziś nie dadzą, a wystarczyć mogą, by po czasie umrzeć z głodu...

— Nie rozumiem wszystkiego.

— Spojrzałem w ślepie namiętnej prawdy i przyszłem do przekonania, że żyjąc tak, jak dziś, spadam z nieubłaganą koniecznością w bagienko nędzy i jak kiedyś kamień rzucony z góry runę! Talent muzyczny mam za mały, nieproduktywny. Choć kocham pracę i szukam jej, nie daje mi ona nawet tyle, bym mógł się wyżywić, ciało swe okryć i mieć dach nad głową. A wokoło wszystko, całe społeczeństwo, to stare miasto — wszystko z fatalistycznym spokojem łakira da mi cierpieć i zdobędzie się wreszcie na to, że pozwoli mi umrzeć. Zdobywam się na akt heroiczny i przygotowuję się do ostatniego egzaminu. Przygotowuję się zarazem na oczekującą mnie dalszą nędzę studjów.

C. d. n.

Tadeusz Orsza.



Posiedzenie Komitetu Organizacyjnego budowy Domu im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Oleandrach w sali Rady miejskiej pod przewodnictwem Prezydenta miasta inż. K. Rollego.

Kronika.

Nowy Zarząd Okręgu Związku Strzeleckiego. — Dnia 21 kwietnia odbył się w sali ratusza miejskiego doroczny walny zjazd delegatów Związku Strzeleckiego okręgu krakowskiego. Zjazdowi przewodniczył pułk. dr. Kaplicki. Przemówienia powitalne imieniem władz, społeczeństwa i bratnich organizacji wygłosili: wicewojewoda dr. Duch, p. wojewodzina Kwaśniewska, p. wiceprezydent dr. Schneider, p. kurator dr. Kupczyński, p. wiceprezydent Wielgus, p. prezes dr. Prostack i dr. Radzyński. Imieniem Głównego Zarządu Zw. Strz. przemawiał p. Czaki.

Po przemówieniach nastąpiło sprawozdanie sekret. dra Kolkiewicza, skarbniczki p. Pauli i kom. okr. rtm. Naimskiego, oraz komendantki p. Kobrynowiczowej. Następnie złożył sprawozdanie przewodniczący komisji kontrolującej dr. Stein, poczem płk. Służewski przedstawił imieniem komisji-matki listę kandydatów do nowego zarządu, która została przyjęta przez akklamację.

Do zarządu weszli: dr. Kaplicki, jako prezes (po raz trzeci), pos. dr. Dyboski, dr. Orzelski, dyr. Sienko, dr. Kolkiewicz, p. Pauli, dyr. Gauze, prof. Rouppert, Czerwiński, red. Grzywiński, Zazulanka i dr. Hiller; do komisji rewizyjnej: dr. Stein, inż. Wierzchowski, dr. Rogalski; do sądu honorowego dr. Klimecki, dr. Bogdani, dr. Z. Kwieciński i dr. Bobrowski.

Związek legionistów polskich w Rumunji. W lutym b. r. zorganizował się w Rumunji Związek legionistów polskich z siedzibą w Czerniowcach — „Societatea fostilor Legionari Poloni în România Cernauti”. Na walnem zebraniu wybrano zarząd w następującym składzie: prezes Karol Kropp, wiceprezes Karol Kocmański, sekretarz Kajetan Smreczyński, skarbnik Michał Karewicz, członkowie zarządu. Marjan Heller, Karol Zajac i Józef Nagrodzki. Zarząd związku mieści się w lokalu Towarzystwa rękodzielników polskich „Gwiazda” w Czerniowcach (Dom Polski).

Nowy Zarząd Kola Krakowskiego Związku Oficerów Rezerwy Rz. P. wybrano na Walnem Zgromadzeniu w dniu 14 kwietnia br. w następującym składzie: prezes — Br. Knebloch, wiceprezes — J. Plezia, sekretarz — St. Mazur, skarbnik — St. Świdorski, gospodarz — M. Seifert, członkowie Zarządu: K. Broczyner, St. Jahowicz, J. Noga, M. Rudziński i G. Staszkievicz.

Nowe wydawnictwo. W Warszawie zaczęło wychodzić nowe wydawnictwo periodyczne „Insurekcje” pod redakcją Adama Szelągowskiego Prof. Uniw. we Lwowie. Zeszyt pierwszy zawiera następujące artykuły i dokumenty historyczne: Marszałek J. Piłsudski, Rok 1863. — Z. Padlewski, Spowiedź przed straceniem, A. Zamojski, Odezwa do Rządu Francuskiego — Konwencja Alvenslebena — Dr. A. Lewak, Udział Polaków w włoskich walkach o wolność. — Młoda Polska. — Dr. M. Tyrowicz, Przygotowania rewolucyjne do r.



Uroczysty obchód Imienin Marsz. Józefa Piłsudskiego w Bochni. Przed portretem stoją przedstawiciele władz i społeczeństwa miejscowego.

1846 w świetle nowych źródeł. — Raport policji narodowej o Zygmuncie Kaczkowskim — Z. Kaczkowski, Nowa faza Rewolucji polskiej (1864). — Słowianofilizm i rewolucjonizm rosyjski. — Spuścizna rękopiśmienna (T. T. Jeża) Zygmunta Miłkowskiego. Adres redakcji: Warszawa, Żórawia 13, konto czekowe P. K. O. Nr. 45.440.

Celem wydawnictwa, stojącego na wysokim poziomie naukowym, są badania historyczne dziejów Polski walczącej o niepodległość. Przecistawiając się dotychczasowej doktrynie historycznej, pisze redakcja we wstępie: „Rok 1794, 1830/31, 1863 aż po 1914 — cztery generacje, zgóry całe stulecie, jest to wystarczający okres czasu, aby był nazwany szkołą myśli politycznej”.

Na fundusz dyspozycyjny Ministra Spraw Wojskowych. Prof. Dr. Bronisław Daniec złożył na ręce p. wicewojewody Dr. K. Ducha, całą pensję za „Virtuti militari” w wysokości 300 zł.

Inni członkowie Związku Leg. Pol. złożyli w Zarządzie Związku następujące datki: Cholewiński Wojciech 5.— zł., Wadowski Jan 1.— zł., Sysło Jan 2.— zł., Imhoferowa Zof. 5.— zł., Dr. Ludwik Zakrocki 5.— zł., Jauerling Ada 2.— zł., Zieliński Andrzej 1.— zł., Wojciechowski Feliks 2.— zł., Rospondek Jan 5.— zł., Grechowicz Klemens 2.— zł., Jaskuła Jan 2.— zł., Trędowicz Jan 2.— zł., Bednarz Fran. 3.— zł., Marek Emil 1.— zł., Kielman Antoni 3.— zł., Nowak Feliks 2.— zł., Bujak Stanisław 1.— zł., Traub Ozjasz 2.— zł., Czermak Feliks 2.— zł., Sekuła Ignacy 2.— zł., Nalczka Władysław 2.— zł., Tarkowski Tomasz 1.— zł., Bies Józef 1.— zł., Cisak Józef 1.— zł., Marko Piotr 1.— zł., Dąbrowski Jan 1.— zł., Zajęczkowski Stefan 1.— zł., Nowak Wojciech 1.— zł., Kontnowski Józef 1.— zł., Pietruszka Albin 1.— zł., Pietraszek Ignacy 1.— zł., Jasiński Władysław 1.— zł., Ruszkowski Ludwik 1.— zł., Dr. Kolkiewicz Zdzisław 1.— zł., Gawdzikowa Michałina 2.— zł.

Komunikaty.

Walny zjazd legionowy. Tegoroczny walny zjazd legionowy odbędzie się w Poznaniu albo w Krakowie.

Miejscowy Zarząd Federacji Obrońców Ojczyzny. W najbliższych dniach zostanie wybrany powiatowy Zarząd Federacji Obrońców Ojczyzny. Zarząd Związku Leg. Pol., Oddział w Krakowie, zaprasza wszystkich członków Federacji do swobodnego poruszania się w lokalu Związku na Wawelu. Zarząd Federacji będzie urzędował także w lokalu Związku na Wawelu.

Wieczór legionowy. W sobotę 25 maja o godzinie 7-mej wieczorem odbędzie się w lokalu Związku Leg. Pol. na Wawelu wieczór legionowy, który zagaí prezes dr. Stanisław Łukasik. Potem zostaną wygłoszone referaty: 1) Prezes poseł B. Pochmarski — „O nową konstytucję” 2) Dr. Jan Zieleniewski — „Obecny stan ubezpieczeń społecznych”. Pożądany liczny udział członków wraz z rodzinami.

Wypożyczalnia książek i czytelnia czasopism. — Z dniem 1 czerwca b. r. zostanie uruchomiona w lokalu Związku na Wawelu wypożyczalnia książek. Program czytelnicy czasopism będzie także rozszerzony stosownie do życzeń członków. Ponadto w sali czytelnicy zostanie ustawione radio.

Walne zebranie Koła Pań. W ciągu czerwca zostanie zwołane pod kierownictwem p. wojewodziny Kwaśniewskiej zebranie Koła Pań przy Związku Legionistów w Krakowie.

Omyłki druku. W numerze kwietniowym (4) „Legjonu” zostały spostrzeżone następujące omyłki druku: str. 12, 3 wiersz od dołu z prawej strony zamiast „zważyła” ma być „zwarzyła”. — Str. 15, 3 wiersz od dołu z lewej strony zamiast „strony” ma być „nastroje”. — Str. 18, 4 wiersz od góry z lewej strony zamiast „przedać” ma być „przelać”. — Str. 21, 1 wiersz od góry zamiast „Z pustyni” ma być „Z pustyń”. — Str. 22, 28 wiersz od dołu z lewej strony zamiast „impresjonizm” ma być „impresjonizm”.

Prenumerata: Rocznie: 12 zł., półrocznie: 6 zł., kwartalnie: 3 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł.

Ceny ogłoszeń: Cała strona: 400 zł., 1/2 strony 200 zł., 1/4 strony 100 zł., 1/8 strony 50 zł., 1/16 strony 25 zł. Ogłoszenia w treści o 50% droższe.

Redakcja i Administracja Kraków, Wawel. Tel. przez centr. wojsk. 3578, lub 3543. Konto P. K. O. 408.940. Redaktor naczelny i odpowiedzialny Dr. Stanisław Łukasik. — Kierownik Administracji: Franciszek Bednarz.